

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Iza Moszczeńska*: Rząd parlamentarny. — *Aleksander Ringman*: Rozbrojenie czy uzbrojenie? — *Stefan Stański*: Turkiestan. — *Tadeusz Zieliński*: Bohaterki tragedji greckiej (odcinek). — *Włochy a Polska*. — *Prof. O. Bujwid*: Pierwszy wszechpolski kongres esperantystów. — *Uczone kobiety polskie i książki o nich*. — *Jan Lorentowicz*: Rapsodja Pomorza. — *Walter Pater*: Poezja Michała Aniało. — *Prof. Józef Strzygowski*: Sztuka plastyczna wschodu.

Rząd parlamentarny.

Jednomyślna opinia wszystkich czynników politycznych stwierdziła w tych osobliwych dniach niespodzianego przesilenia, że 1-o najlepszym byłby rząd parlamentarny o silną większość sejmową oparty — i 2-o że w danej chwili rząd taki jest niemożliwym.

Ściśle biorąc nietylko dziś — ale wogóle w obecnym sejmie o rząd ściśle parlamentarny, wyłoniony z izby sejmowej jest bardzo trudno, czego dowiodły wszystkie dotychczasowe przesilenia sejmowe.

Zachodzi pytanie, w czym tkwi przyczyna i naczem możnaby budować widoki, że kiedykolwiek będzie lepiej? Dlaczego ten sejm rządu parlamentarnego wyłonić nie może i jak ma się ukształtować przyszły sejm, aby się z tej niemocy wyleczyć?

Gdy odbywały się u nas pierwsze wybory, nikt się z tą potrzebą i z tą trudnością nie liczył. Wybierano ludzi do izby poselskiej nie do gabinetu, wybierano pod hasłem, czego mają żądać, ale nie liczone się wcale z tem, że oni właśnie mogą być powołani do tego, by swoje i cudze żądania spełniać.

„Żądać“ „domagać się“ w imieniu swych wyborców i w ich interesie oczywiście od rządu, kto zaś miał być tym rządem, tego wiece wyborcze nie przewidywały. W wyobraźni tłumów wyraz *rząd* odpowiadał zawsze jakiejś bezimiennej potędze rozporządzającej nieobliczalnymi siłami i środkami ściganymi z całego kraju. Ponieważ za rządów zaborczych te sły i środki ścigała obca przemoc — czy to władzy despotycznej, czy większości obcego narodu, ponieważ one mogły być używane na cele krajowi polskiemu wrogie, przeto wytworzyło się mniemanie, że przedstawiciele społeczeństwa, wybrani do izby prawodawczej, mają prawo i obowiązek przeciwstawiać zawsze wolę wyborców woli rządu — targować się, dawać jaknajmniej, żądać jaknajwięcej — i że na tem cała

rola posłów polega. — Płynęło stąd niezmierne uproszczenie całej kompanji wyborczej. Kandydat na posła mógł śmiało w zamian za mandat — obiecywać złote góry — jaknajniższe podatki, utrzymywanie na koszt rządu wszystkich bezrobotnych, minimum pracy a maksimum płacy dla pracujących, rozdawnictwo ziemi, materiałów budowlanych, inwentarzy, zasiewów i t. p. a przytem wszystkim powszechną taniść i obfitość. — Na taki program każdy woborca godzi się bardzo chętnie i uzyskanie mandatu staje się rzeczą łatwą. Konkurencja stronnictw zaostrzała dowcip tylko w tym kierunku, by przy licytacji obietnic jeszcze coś dodać, jeden przyrzekał wszystko, oczem zamarzyli wyborcy, drugi musiał wymarzyć coś takiego, o czem im się nie śniło. Naturalnie z góry zrzucono odpowiedzialność za wszelkie możliwe zawody na ową potęgę bezimienną, do której się zwracano. Poseł chce dobrze ale nie może zrobić tego, czego chce. Wykonawcą woli ludu powinien być rząd. Oczywiście wiele łatwiejszą rzeczą jest wolę tę wyrażać niż urzeczywistniać, im śmieiej wyrażona, im dalej sięgająca, tem trudniejsza do wykonania. Licytacja programów partyjnych sama przez się utrudniała rolę każdego gabinetu. Okazało się to dopiero w praktyce, gdy ci sami, którzy zaciągnęli daleko idące zobowiązania względem wyborców, zostali powołani przez izbę do ich wykonywania. Z początku obsadzanie tek przychodziło łatwo; każdy sobie wyobrażał, że być ministrem, to rzecz łatwa i miła, a nietylko zaszczytna. Coraz częściej jednak zdarzało się później, że wybrany minister tracił popularność we własnej partji i był przez nią zwalczany, że inne grupy wyłaniały ze siebie dany rząd, a inne go podtrzymywały, że partje reprezentowane w gabinecie, na znak niezadowolenia, wycofały z niego swych ludzi dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności za rząd, które same utworzyły, lub dla uchronienia od kompromitacji przez nieudolność człowieka, który je w łonie rządu reprezentował. Nieomal z reguły partje zawodziły się na swych ministrach, a ministrowie na swych partjach.

Dopiero będąc ministrem człowiek bardzo hojny w obietnicach jako kandydat, bardzo wymowny w krytyce, jako poseł, przekonywał się, że nie wszystko zrobić można, a zwłaszcza gdy się tego robić nie umie, że polityka to nie dyskusja, ale robota bardzo skomplikowana, wymagająca wiedzy rozległej i wszechstronnej, dużego doświadczenia, taktu, wytrwałości, odwagi, zdolności orjentowania się i całkowitego oddania sił i czasu na usługę kraju.

Potęę stronnictwa mierzono przy wyborach tylko liczbą oddanych głosów i obsadzonych krzeseł. Łatwo wyliczyć, że w Polsce chłopi stanowią przegniatającą większość wyborców, że im się należy większość mandatów, a stąd i władza w ich ręce przejść powinna. Chwila objęcia władzy staje się dopiero okazją do stwierdzenia, że siła a liczba to — niejedno — Masa może rząd podeprzeć lub obalić, ale rządzić nie może. Siła stronnictwa rządzącego zależy od jakości ludzi, których ono do władzy powołuje. Jeżeli to są ludzie wielkich zdolności, wielkiej energii, stojący na wysokości zadań, jakie chwila bieżąca wysuwa, utrzymają się przy sterze nie tylko wbrew przeciwnikom partyjnym lecz nawet przy ich cichem poparciu, złamią ostrze opozycji, wzmocnią stanowisko swego stronnictwa, jeśli z niem pozostaną w zgodzie, a w przeciwnym razie znajdą po swej stronie nowe ugrupowania w izbie oraz w szerokich kołach opinii publicznej.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia, gdy myślą przewodnią stronnictw jest wyłącznie obsadzenie krzeseł poselskich swoimi ludźmi, byle jakimi, aby tylko byli *swoi*, potulni szeregowcy obozu partyjnego, katarynki ustawione na pewne hasła programowe. — Partja nie może takich ludzi powoływać do władzy, jeśli nie chce się skrompromitować i ośmieszyć. Inną trudność przedstawia powoływanie partyjnych leaderów. Są to zwykle ludzie, którzy w stronnictwach swych wysunęli się na czoło przez organizowanie i prowadzenie walki z przeciwnikami, walki nie o *coś* lecz przeciw *komuś*. Ponieważ walka taka toczy się dość niewybrednemi środkami, bronią szynkan, oszczerstw, intryg, plotek — przeto z natury rzeczy, ten, kto w niej stoi na czele, rozdmuchuje przeciw sobie pożar nieugaszonej nienawiści osobistej. Im więcej zasług położył dla swoich, tem więcej krzywd wyrządził obcym. Gdyby jedna partja mogła sama przez się stanowić o większości mogłaby utworzyć gabinet jednolity i wszystkie swoje tuzy i figury wysunąć do steru władzy. Tak jednak nie jest ani u nas, ani gdzieindziej. Rząd większości bywa już dziś zawsze rządem jakiejś węższej lub szerszej koalicji grup, związanej do raźnie na zasadzie kompromisu. Wysuwanie na czoło jednostek znieawidzonych utrudnia wszelkie kompromisy, i taki rząd musi się liczyć z opozycją tem bardziej bezwzględna im mniej krępowano się względem przeciwników wśród walki o władzę.

Na ogół w skład naszych klubów sejmowych wchodzi dziś — obok naczelnych agitatorów tylko wierni członkowie stronnictw, jednostka i długi rząd zer — stąd przy obsadzaniu rządu parlamentarnego wybór jest trudny między bezwartościową miernością a wartością w najwyższym stopniu sporną, tem bardziej ujemną dla jednych im bardziej dodatnią dla drugich.

Nie chodzi oto, by kandydat na ministra nie miał nieprzyjaciół. Ma ich każdy wybitny mąż stanu o wyraźnej fizjonomji i określonym charakterze. Jeżeli to jednak naprawdę człowiek wybitny, jeśli może się wylegitymować jakimiś kwalifikacjami i zasługami pozytywnymi, to są widoki, że prócz tych, co go popierają jako swojego, inni poprą, mimo że nie liczą go do swoich. Nawet krótki okres naszego wskrzeszonego parlamentaryzmu dostarczył już tego rodzaju przykładów. Wiara w to, że dany minister zna się na sprawach, które wzięł w rękę, że jest, trudny do zastąpienia, paraliżuje ostrze opozycji i hamuje przesilenia gabinetowe. Częstość przesileni gabinetowych u nas może niezręcznie tłumaczyć się tem, że brano sobie bez namysłu ministrów na próbę, a zmieniano ich licząc, że o podobnych nie trudno, a można przypadkiem trafić na lepszego.

O potrzebie tworzenia rządu parlamentarnego trzeba pamiętać przy wyborach. Każda partja musi swój klub sejmowy obsadzać najtęższymi ludźmi, jakich posiada, a nawet dążyć do pozyskania sobie współpracy wybitnych talentów politycznych, administracyjnych, fachowych — choćby za cenę pewnych popularnych, lecz zbyt krańcowych punktów programów. Za wiele ustępstw czyniono dla mas zchlebając ich instyktowi, przyjdzie teraz konieczność ustępstw dla talentów przez podnoszenie się do wyższych wymagań mózgow.

Drugim wskazaniem na czas kampanji wyborczej jest hamowanie temperamentów i języków przy zwalczaniu partji przeciwnych. Można reklamować swój program i swego człowieka bez wykazywania, że przeciwnik jest szubrawcem lub zdrajcą. Tylko narazie takie środki walki dają łatwe wyniki, bo nawet wtedy, gdy na pochwałę własnego kandydata nic powiedzieć nie można, nie trudno wykazać jego wyższość nad skończonym łotrem, którego czarny wizerunek kreśli się dla postrachu wyborców. Z tego jednak płyną dalsze konsekwencje. Gdy spotkają się w sali sejmowej ludzie, obrzucani błotem na wiecach partyjnych, ludzie, którzy tylko przez tę błotną łaźnię sprawianą rywalom do krzeseł poselskich dotarli, nawet wtedy, gdy widzą, że sprawy dla nich najważniejsze, najbardziej palące, wymagają wzajemnego współdziałania, nie mogą sobie podać rąk, choćby chcieli. Cóż bowiem powiedzą wyborcy? Wybrali pana A, bo B miał być złodziejem, a o to, A i B chcą się zbratać, iść ręką w rękę! Oczywista zdrada ludu! Czyż w takich warunkach może powstać w sejmie jakaś większość a tembardziej większość stała?

W pewnych momentach, zależnie od charakteru spraw będących na porządku dziennym, najbardziej różniące się między sobą partje mają interesy wspólne, których połączonemi siłami bronić muszą. Czasem są to sprawy ekonomiczne, np. interesy ludności miejskiej równie żywo obchodzące robotnika, urzędnika czy kupca; czasem obrona pewnych konstytucyjnych rękojmi, czasem sprawy z dziedziny polityki zagranicznej, w wyższym stopniu interesujące jedne dzielnice niż inne. Wtedy robienie na złość przeciwnikom, partyjna irredenta gubi sprawę, którą możnaby wygrać. To też nawet walka stronnictw powinna być bardziej rzeczowa niż osobowa, winna być hamowana przezornością. Dzisiejszy przeciwnik może się stać jutro niezbędnym sojusznikiem. Nie należy pluć

w studnię, z którą może pić będzie trzeba. Oszczędzać i szanować przeciwników, to zabezpieczać siebie i swą partję od odosobnienia i bezsilności, tolerować drogę do trwałej większości w Sejmie i do parlamentarnego rządu w Polsce.

I. Moszczeńska.

Rozbrojenie czy uzbrojenie?

Cała Europa z Anglią na czele od dłuższego już czasu mówi o konieczności rozbrojenia, przyczem konieczność tę, zdaniem pacyfistów angielskich, włoskich, niemieckich, trzeba zastosować przedewszystkiem do Polski. Tak mówią finansisci zachodnio-europejscy i zależne od nich rządy, tak pisze opłacana przez nich i przez nich inspirowana prasa. Wtórują im bezkrytyczne masy, nawet wrogo do rządów i kapitalistów usposobione, lecz zato prowadzone na pasku rosyjsko-niemieckiej agitacji komunistycznej, a nawet w Polsce są ludzie, którzy wierzą w imperialistyczne zamiary Rządu Rzeczypospolitej, którzy w przededniu zawarcia w Rapallo jawnego i tajnego traktatu rosyjsko-niemieckiego, traktatu wymierzonego przeciw Polsce, domagali się w Sejmie ośmiomiesięcznej służby wojskowej i niechętnie patrzyli na nasz mniej niż skromny budżet wojskowy.

Budżet ten przewiduje 152 miljardy mk.p., to jest około 152 miliony marek złotych. Lwia część tej sumy pójdzie na pensję oficerów i wyżywienie żołnierzy. Na dział techniczny, uzbrojenie taboru i t. p. preliminowane jest zaledwie około 60 miliardów mk. polskich (około 60 milionów mk. złotych). Czem są te sumy w świetle naszych potrzeb? Aby na to pytanie odpowiedzieć, należy sobie przedewszystkiem uprzytomnić, że wojna, jaką w najbliższym czasie możemy toczyć z Rosją i Niemcami, będzie to przedewszystkiem wojna techniczna, gdzie żołnierz tak, jak robotnik we współczesnym wielkim przemyśle, będzie tylko dodatkiem do maszynierji wojennej, od niej, od jej doskonałości i sprawności całkowicie zależnym.

Czem zaś była i jest technika wojenna niemiecka, o tem mamy dość dobre pojęcie. Gorzej się społeczeństwo orientuje w ogromie wojennych środków technicznych, jakimi w krytycznej chwili może rozporządzać Rosja. Pod tym względem przed wojną, a nawet w czasie wojny nie doceniano Rosji zupełnie, a obecnie po pięcioletniej gospodarce bolszewickiej skłonni jesteśmy do przesadnego i zupełnie fałszywego mniemania, że bolszewicy cały rosyjski przemysł wojenny zniszczyli. Zniszczyli oni nie przemysł rosyjski jako taki, lecz żywą siłę tego przemysłu, jego organizację przemysłowo-handlową. Unicestwienie tej organizacji odbiło się rzecz prosta fatalnie na produkcji w kilku ostatnich latach rządów bolszewickich, lecz produkcja ta jednak istniała i, osiągając w niektórych działach zaledwie 1—2 procent produkcji z roku 1916, była mimo to bez porównania większą od wytwórczości naszego zaledwie kielkującego i przechodzącego wszelkie

choroby wieku dziecięcego przemysłu wojennego.

Ze względów łatwo zrozumiałych nie mogę podawać cyfr ilustrujących stan obecny naszego przemysłu wojennego. O ogólnym jego stanie wiedzieć przecież powinien każdy inteligentny obywatel polski, niech go zatem choć w myśli porówna z rosyjskim przemysłem wojennym takim, jakim on był w trzecim roku wojny, jakim jest obecnie i jakim wkrótce znowu być może, gdy Niemcy dostarczą niezbędnych dla jego organizacji inżynierów, majstrów i robotników wysoce ukwalifikowanych, oraz pewnych brakujących maszyn i narzędzi technicznych. Już przed wojną rosyjski przemysł wojenny rozwinał się potężnie, mieszcząc się przeważnie w Petersburgu i jego okolicach, następnie w Tule, Kazaniu, Samarze, Ługańsku i w guberniach Permskiej i Ufimskiej.

Na dwa lata przed wojną znana angielska firma Wickersa zaczęła budować w Carycynie nad Wołgą wielką fabrykę ciężkich dział. Budowę jej kontynuowano w ciągu całej wojny światowej. Produkcja rosyjskich fabryk materiałów wojennych, aczkolwiek już przed wojną bardzo duża, nie mogła jednak sprostać olbrzymim zapotrzebowaniom pierwszych lat wojny światowej i już w drugim roku tej wojny w społeczeństwie rosyjskiem rzucono hasło ogólnej mobilizacji całego przemysłu rosyjskiego, który też dość szybko, jak na stosunki rosyjskie, przeszedł na produkcję materiałów wojennych. Jak grzyby po deszczu, powstawały też fabryki nowe. Już w roku 1916 przeszło 250 średnich, wielkich i olbrzymich zakładów przemysłowych, w samej tylko obecnej Rosji Sowieckiej położonych (a zatem nie licząc Polski, Łotwy, Estonji i Finlandji), wytwarzało bądź to wyłącznie, bądź w znacznej części broń i amunicję. Z powyższej liczby 250 zakładów około 50 fabryk wytwarzało działa i karabiny maszynowe, oraz ręczne. Niektóre z tych fabryk już w roku 1916 były wprost olbrzymie zarówno pod względem ilości zatrudnionych robotników, jak i pod względem masowej produkcji materiałów wojennych.

Dość powiedzieć, że takie Putiłowskie zakłady (produkcja armat), Tulskie (karabiny i naboje) i Samarskie (amunicja) zatrudniały ponad 30,000 robotników.

Powyżej 10,000 robotników liczyły zakłady: 1. Obuchowskie, 2. Bałtyckie, 3. Szliselburskie. 4. Parwajnen, 5. Lessnera w okolicach Petersburga dalej Ługańskie w Ługańsku, Iżewskie i motowilicha w Permskiej gub., Kazańskie (spalone w roku 1916). Wielka ilość takich zakładów powstała w czasie wojny w Moskwie, Kijowie i okolicach tych miast. Przeszły też na wytwórczość wojenną olbrzymie metalurgiczne zakłady południowej Rosji, aczkolwiek zakłady te wyrabiały głównie nie broń i amunicję, a blachę pancerną dla statków i pociągów, wojenne środki transportowe i t. p. Wytwórczość materiałów wojennych wyżej wymienionych fabryk była w czasie wojny światowej wprost olbrzymią. Taka naprzykład Ługańska fabryka naboji karabinowych wytwarzała w roku 1917 do 10 milionów naboji dziennie,

a nawet na początku roku 1919 fabryka ta dawała jeszcze około 300.000 naboju dziennie. Produkcja dzienna karabinów wynosiła w roku 1917 około 10.000 sztuk, w tem bliżej nieznaną, lecz w każdym razie bardzo znaczną ilość ciężkich i lekkich karabinów maszynowych. Armat wytwarzano w tym roku około 60 sztuk dziennie. Cyfry te staną się więcej wymowne, gdy sobie uprzytomnimy, że cała suma 152 miljardy marek polskich, preliminowanych w roku bieżącym na wszystkie absolutnie potrzeby armji, starczyłaby na kupno zaledwie kilkuset armat średniego kalibru. A wszak powiedzieliśmy wyżej, że lwią część tej sumy musi być przeznaczona na wyżywienie żołnierzy, oraz kupno i przekarmienie koni.

Jakże więc w świetle tych faktów wobec gorączkowych jawnych rosyjskich i tajnych niemieckich zbrojeń wojennych wygląda bezpieczeństwo kraju?

Powtarzam raz jeszcze: niebezpieczeństwo nie o wiele jest mniejsze, że przemysł wojenny rosyjski jest zniszczony, bo najprzód gorączkowo się on obecnie odbudowuje przy energicznej pomocy techników niemieckich, a następnie należy sobie jasno zdać sprawę z tego faktu, że nawet drobny ułamek dawniej potężnej wytwórczości rosyjskich fabryk wojennych przedstawia się imponująco wobec naszych początków na tem polu; naprzykład niewielu zapewne w Polsce jest ludzi, którzy wiedzą, że jeszcze wiosną roku 1920 produkcja naboju karabinowych w Rosji Sowieckiej wynosiła około 400.000 sztuk dziennie, a procentowo przedstawiała się ta liczba jako drobny ułamek około 1/130 ilości naboju karabinowych wytwarzanych dziennie w trzecim roku wojny światowej. W świetle takich cyfr należy rozpatrywać „zniszczony” przemysł wojenny w Rosji, oraz możliwość jego odbudowy. Należy sobie też uprzytomnić, że wogóle rosyjski przemysł żelazny, będący wszak podstawą przemysłu wojennego, był przed wojną sytuowany świetnie. Metalurgia południowo-rosyjska rozwinęła się potężnie w ostatnich kilku latach przed wojną przy pomocy kapitałów belgijskich i francuskich, oraz techników i majstrów polskich. Zakłady rosyjskie budowali najlepsi inżynierowie zagraniczni, oraz polscy i rosyjscy z zastosowaniem najnowszych wymagań technicznych. Odbudowa tych zakładów i całego wogóle przemysłu rosyjskiego jest zupełnie możliwa i to w stosunkowo szybkim tempie. Najważniejszą przeszkodą, jaką na drodze do jej odbudowy rząd sowiecki spotkać może, są to przedewszystkiem trudności aprowizacyjne i transportowe. Ale nawet ta przeszkoda może być pokonana przy energicznej pomocy niemieckiej, tembardziej, że przemysł rosyjski jest może najwięcej w Europie skoncentrowany w kilkunastu dużych ośrodkach miejskich, położonych przy głównych liniach kolejowych, wielkich spławnych rzekach lub nad morzem. Ta okoliczność w razie energicznych wysiłków ze strony Rosjan i Niemców ułatwi przemysłowi rosyjskiemu dowóz z zagranicy żywności i opału. Co się tyczy opału, to nawet przed wojną całe nadbałtyckie wybrzeże byłego imperjum rosyjskiego, przedewszystkiem zaś Petersburg, było opalane węglem angielskim,

który obecnie może być szybko zastąpiony węglem niemieckim, tembardziej, że flota transportowa niemiecka szybko się odbudowuje, a wobec odpadnięcia kolonji i siedmiokrotnego powiększenia floty amerykańskiej, znacznego też powiększenia tonnażu floty norweskiej, holenderskiej i innej, flota niemiecka siłą rzeczy musi się zwrócić na wschód Bałtyku do Łotwy, Estonji i Rosji i przewozić do tych krajów i przez nie dla samej Rosji węgiel, maszyny, żywność i t. p.

Przemysł zaś, południowo-rosyjski może się opalać, w części przynajmniej, węglem własnym, ponieważ odbudowa kopalń Zagłębie Donieckiego postępuje dość szybko, skoro już w grudniu roku 1921 wydobyte węgla w tem zagłębiu osiągnęło 44% przedwojennego miesięcznego wydobycia. Później w styczniu i lutym roku bieżącego wydobyte znowuż znacznie spadło, lecz fakt ten tłumaczy się nie względami technicznymi, ale jedynie i wyłącznie trudnościami w zaopatrywaniu robotników w żywność! Zresztą i na południe Rosji węgiel, a nawet żywność zagraniczna może też być dowieziona drogą morską do rosyjskich portów czarnomorskich a z nich częściowo Donem i Dnieprem, a częściowo kolejami, które choć bardzo źle, ale jednak funkcjonują. Nie należy też zapominać, że węgiel może być w przemyśle rosyjskim zastąpiony ropą i jej przetworami zaś produkcja ropy w okręgu Groźnieńskim osiągnęła już swą wysokość przedwojenną, a w okręgu Bakińskim obecnie podobno już dochodzi do 50% produkcji przedwojennej. Ropa ta Wołgą, Oką, Kamą i Wiatką Maryjską wodnym systemem może dotrzeć do ważniejszych przemysłowych zakładów, położonych w Rosji południowo-wschodniej, północnej, a nawet centralnej.

Daleki byłem przy kreśleniu uwag powyższych od intencji szerszenia paniki, lecz tylko społeczeństwo lekkomyślne i politycznie niewyrobione poddaje się bądź to przesadnemu strachowi, bądź to słodkiej drzemce wobec groźnego niebezpieczeństwa. Naród zdrowy, politycznie wyrobiony, z wysokim poczuciem patriotycznym, jakim jest naród polski, powinien sobie żywo uprzytomnić niebezpieczeństwo, jakie Polsce grozi z powodu traktatu zawartego w Rapallo i naród taki nie może posiadającym olbrzymi arsenał wytwórczości wojennej Rosji i Niemcom przeciwstawić jedynie agitacją pacyfistyczną. Agitacja taka może i powinna mieć miejsce na Zachodzie, w Niemczech i Rosji, przedewszystkiem, gdzie państwa te z olbrzymiego poziomu uzbrojenia muszą istotnie zejść przynajmniej do pewnego poziomu średniego. My nie możemy się rozbrajać z tego poprostu powodu, że my nie jesteśmy dotąd prawie wcale uzbrojeni. Odwrotnie, my musimy za wszelką cenę i jak najszybciej stworzyć własny choćby tylko średni przemysł wojenny. W przeciwnym razie wśród serdecznych naszych przyjaciół na Zachodzie, we Włoszech i Anglii przedewszystkiem, którzy głoszą hasła pacyfistyczne dla... Polski, psy zjedzą polskiego zająca.

Inż. Aleksander Ringman.

TURKIESTAN.

II.

Kto i w jaki sposób tworzył tę komunistyczną rzekomo republikę Turkiestańską? W Turkiestanie nie było żadnych elementów, które mogłyby skłaniać się ku komunizmowi. Ludność rosyjska Turkiestanu składała się z „czynowników“ i kolonistów. Otóż ta ludność po ostatecznym zwycięstwie Sowieków stała się w imię swych interesów dotychczas panującej warstwy rzekomo komunistycznej.

W ten sposób nie tylko nie utraciła dotychczasowego swego stanowiska, lecz przy upadku wszelkiej moralności i jakiegokolwiek kontroli rządowej stanowisko to jeszcze wzmocniła.

Dla tubylców zaczęły się teraz rządy najstraszniejsze, jaich dotąd przy największych satrapach carskich nie bywało. Rzekomi komuniści poczęli hasła sowieckie interpretować na swój niebywały wprost sposób. Na mocy więc hasła „Ziemia dla ludu pracującego“ odebrano Kirgizom ich ziemię, tłumacząc że ci, jako ludność koczownicia, nie są ludem pracującym. W okręgu Semireczyńskim sprawę tę przeprowadzono „prawodawczo“ i ziemię otrzymali koloniści rosyjscy. „Nie pracujący nie je“ — wytłumaczono w ten sposób, że skoro Kirgizi „brodzą“ a nie pracują, więc winni wymrzeć. W myśl tej interpretacji starano się im w tem dopomóc...

„Zniesienie pracy najemnej“ zrozumiane zostało tak, że nie należy płacić Kirgizom za ich pracę na polach kolonistów — ale do pracy ich zmuszano.

W taki sposób władza sowiecka, złożona z przysłanych z centrum „prawdziwych komunistów“ — jak i z podszywającej się pod komunizm miejscowej warstwy rosyjskiej, tego rzekomo kulturalnie wyższego elementu — rządziła masami muzułmańskimi w imię zasad komunizmu.

Te masy muzułmańskie stanowią 95,6% ogółu ludności, zaś grupa rządząca wynosi zaledwie część 4,4% cudzoziemców, zamieszkałych w Turkiestanie.

Taki, niebywały chyba w najdzikszych krajach ucisk ludności przetrwał do r. 1921.

Ludność tubylcza już, dawniej występująca przeciw rządowi rosyjskiemu, po nieudanej walce rządu Kokandskiego próbowała walczyć dalej. Tworzyły się oddziały powstańcze, głównym terenem których był okręg Fergański. Bolszewicy nazwali powstańców „basmaczami“, co po turecku znaczy rozbójnik. Powstaniu sprzyjało bardzo postępowanie władz sowieckich i czerwonej armii, prowadzące do zupełnego wyniszczenia kraju i wywołujące coraz większą nienawiść. Miejscowe sfery handlowe, a również część Rosjan, oficerów i podoficerów, przeciwna bolszewizmowi również popierały ten ruch jako walkę z sowietami. Powstańcy występowali pod hasłem popularnego panislamizmu, jako obrońcy uciśnionych narodowości. Próby wywołania przez bolszewików walki klasowej — stworzyły bardzo ostrą walkę narodowościową.

Rząd moskiewski spostrzegł się, że dalsze tolerowanie takiego stanu rzeczy nie przyniesie mu korzyści. Myśli o rewolucji na Wschodzie, zwłaszcza w Indjach, nakazywały szukać dróg porozumienia z ludnością tubylczą. Z drugiej strony przy takich rządach kraj gospodarczo zamierał z każdym rokiem. Produkcja rolna spadała do 40%, przywóz wytworów przemysłowych, których brak Turkiestan silnie odczuwał — spadł o 100%.

Odcięcie Turkiestanu od reszty państwa skutkiem walk wojsk kotrrewolucyjnych i ogólny upadek życia gospodarczego całego państwa odbiły się bardzo ujemnie na sprawach ekonomicznych Turkiestanu. Nagromadzone zapasy bawełny nie mogły być z kraju wywiezione, natomiast ludność pozbawiona została nie tylko wytworów przemysłu ale również żywności, której kraj w dostatecznej ilości nie produkował. Nauczona już trochę głodem 1917 r. a obecnie zmuszona brakiem dowozu żywności ludność turkiestańska poczęła coraz więcej przestrzeni uprawiać zbożem ze szkodą dla produkcji bawełny. W ten sposób kultura bawełniana zaczęła upadać.

Rząd moskiewski zdaje sobie sprawę z konieczności utrzymania Turkiestanu w swem ręku. Wszelkie zasady o prawie do samodzielności narodów pozostają tylko teorią. Rząd sowiecki wbrew swej konstytucji wyraźnie do tego się przyznaje w oficjalnych swych wydawnictwach, że jest zwolennikiem oddzielania się narodów podległych innym państwom, za wyjątkiem naturalnie Rosji. Tak więc Turkiestan pozostał republiką autonomiczną, wchodzącą w skład R. S. F. S. R. mimo, że oficjalnie w prasie sowieckiej stwierdzono, że Turkiestan ma stokroć większe prawa do niepodległości, niż Ukraina, która jest prawnie republiką niezależną. Turkiestan bowiem ma 95,6% ludności tubylczej, muzułmańskiej, z zupełnie odmiennymi, specyficznymi warunkami życia zarówno pod względem kulturalnym, jak społecznym, gospodarczym i t. d., podczas gdy Ukraina jest „wymysłem Skoropadskiego i Petlury“, a w rzeczywistości jest „Rosją taką samą, jak i w gubernjach północnych“. Turkiestan niedawno dopiero stracił niezależność i ma wszelkie warunki po temu, aby być państwem niepodległym.

Obecna autonomia Turkiestanu jest tylko fikcją.

Sprawy polityczne, wszystkie gospodarcze, koleje, poczta i t. d. należą do kompetencji centrum. Autonomia nie obejmuje nawet zakresu komisariatu spraw wewnętrznych, gdyż Cze-ka podlega również centrum. Autonomiczność więc ujawnia się w bezprawności władz miejscowych, które jak zresztą wszędzie nie stosują się do rozporządzeń władz centralnych. Społeczeństwo miejscowe żadnego udziału we władzy nie posiada i jest w dalszym ciągu, choć z chwilą zakończenia wojen i zmiany systemu bolszewickiego nieco mniej, uciężane.

Próby zjednania sobie mas muzułmańskich, jakie rząd sowiecki rzekomo czyni, nie mogą doprowadzić do żadnych rezultatów. Pewna swoboda języka, druk odezw i broszur agita-

WŁOCHY a POLSKA.

(Przemówienia na przyjęciu dziennikarzy włoskich w Kole Polsko-Włoskiem im. Leonardo-da-Vinci.)

12 czerwca Koło Polsko-Włoskie im. Leonarda-da-Vinci gościło dziennikarzy włoskich. Powitał gości p. *Aleksander Lednicki*, którego mowę podajemy tu w całości.

Panowie! Przed kilkoma dniami miałem zaszczyt spotykać was w Polsko-Włoskiej Izbie Handlowej i mówić o wspólnych naszych interesach materialnych. Dziś w tem towarzystwie, któremu patronuje nieśmiertelny genjusz Italji, chcę mówić o innych węzłach, łączących narody Polski i Włoski, o węzłach napozór mniej realnych, ale w istocie, być może, trwalszych nad traktaty handlowe, chcę mówić o tych sympatjach wzajemnych polsko-włoskich, które wytworzyła wspólna przeszłość nasza.

„Oba narody, Włochy i Polska, cierpiały w przeszłości te same męczarnie, przeżywały te same nadzieje, jednaka też czeka je przyszłość...“ tak mówił w roku 1848 poeta włoski Napoleon Giotti, witając we Florencji największego wieszca polskiego Adama Mickiewicza, który przybył do Italji, aby wziąć udział czynny w walce o wolność Włoch i wolność ludów powszechną.

W walkach za ojczyznę i wolność nie raz podawali sobie ręce szermierze polscy i włoscy, polska krew płynęła w szeregach powstańczych włoskich; włoska w polskich. Najpiękniejsze sny o wolności obu narodów łączyły się w świętem marzeniu o szczęściu całej ludzkości.

Na ujarzmionej jeszcze ziemi włoskiej powstały legjony Dąbrowskiego i ziemia włoska pierwsza usłyszała, „że jeszcze Polska nie zginęła“. A Włochy wyzwolone pierwsze z wielkich narodów przy-

cyjnych w językach miejscowych, sprzyjają do pewnego stopnia tylko uświadamianiu narodowemu, ale nie mogą nawet w najmniejszej mierze złagodzić nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie. Zresztą jak jest prowadzona oświata — w kraju, gdzie 95,6% stanowi ludność tubylcza, dostatecznie charakteryzują oficjalne cyfry. Sprawowanie Taszkińskiego oddziału nauczania powszechnego w czerwcu 1921 r. podaje statystykę narodowościową uczniów. Szkół I stopnia w okręgu tym było 53 z 18326 uczniami. Z tej liczby 9038 czyli połowę stanowili Rosjanie, ludność tubylcza zaś, Kirgizi, 1063 uczniów, t. j. niespełna 6%, a Uzbeki 941 t. j. 5%; reszta zaś również obce narodowości, jak żydzi 948, Ukraińcy 832, Tatarzy 812, Ormianie 650, Polacy 336, Niemcy 210 i t. d. Podobny stosunek był w szkołach II stopnia, ogrodach dziecięcych i wszelkich innych zakładach naukowych. Ludność tubylcza, licząca 95,6%, posiada 10—11% dzieci w szkołach. Takież stosunki panują w szpitalach i innych instytucjach społecznych.

W tych warunkach ruch niepodległościowy w Turkiestanie — jak i na innych kresach Rosji wzmaga się coraz silniej. Niezadowolenie ludności wzrasta z każdym dniem. Próby poprawy tych stosunków nie są w stanie zmienić już sytuacji. Chociaż dzisiaj ruch narodowy w Turkiestanie jest jeszcze słaby i poniósł nadto wilec klęsk — ale nie upadł.

Stefan Stań — ski.

BOHATERKI TRAGEDJI GRECKIEJ.

—o—
Leukotea.

I.

W dniach swej junackiej młodości król orchomeński Atamas oczarował swą pięknoscią nimfę nieśmiertelną, niebiańską Nefalę, t. j. Chmurę. Przymknawszy swą powietrzną łódź do łona wznoszącej się nad miastem skały, zstąpiła do niego, weszła do jego zamczyska i spędziła z nim kilka lat. Ale chmurkom wędrownicom nie wolno żyć wiecznie na tem samym miejscu; zateśniła Niefala za swą niebiańską wolnością, za huczącymi burzami, za groźnymi nawałnicami. Więc wstąpiła na swą skałę, odczepiła powietrzną łódź i spłynęła na błękit eteru.

A w domu Atamasa dwa dziecinne głosy wzywały swej mateczki, która odeszła; był to chłopczyk Fryks i cud-dziewuszka, złotowłosa Helle. I król był strapiiony, ale cóż było począć? Nie można też było zostawić domu bez gospodyni, a państwa bez królowej. Było to właśnie w tym czasie, kiedy królowa Ino, młodsza córka Kadmosa, wygnana przezeń z Kadmei, przysłała do niego szukać schronienia.

Nie zastanawiając się długo, zaproponował jej małżeństwo, na co się zgodziła.

Starcy z jego rady z naganą kręcili głowami, myśląc, że nie wyniknie stąd nic dobrego.

Odtąd poczęło krążyć przysłowie: nad boginię — śmiertelną — jako Atamas.

Dobrze było na świecie Ino: mąż ją kochał, z orchomeńcami żyła w zgodzie, — tylko pasierbowie ją niepokoiłi. Jej nienawiść do nich jeszcze się wzmogła, gdy sama została matką dwóch chłopczyków, Learcha i Mielikerfesa. Byli to chłopcy jak chłopcy, wszelako daleko im było do syna bogini, pięknego Fryksa. Jak czarna chmura opadały jego włosy na śnieżnobiałe czoło, płomień błyskawicy żarzył się w jego oczach; nieł gdzież tam było jej dzieciom do niego! Postanowiła go zgładzić, ale jak? Lud uwielbiał młodego królewicza, ukamieniuje ją, gdy wystąpi wrogo przeciwko niemu, Wiedziała ona o tem, nieł myśli, zabić. to ja cię zabiję, ale nie własną ręką. Któż to jej podszeptał tę myśl grzeszną? Nikt inny tylko straszny Alastor, duch zguby domu Kadmidów.

II.

Niedługo przed tem Demetra, boska siostra Zeusa nauczyla ludzi rolnictwa. Naturalnie lud od swoich królów uczył się podstaw nowej nauki: orchomeńcy składali zbiory swych pól w spichrzach Atamasa i od niego otrzymywali niezbędne na zasiewy i do wyżywienia ziarno. Nie tyle zresztą od niego, ile od królowej, która się zawsze starała zastępować swego nieudolnego męża. Na tem to Ino oparła swój niegodziwy

omniały o niepodległości Polski na początku wielkiej wojny, która więzienia narodów zburzyła. Włoski parlament był pierwszym parlamentem, w którym poruszono sprawę niepodległości Polski. Do tych momentów, które na wieczne czasy zachowa pamięć obu narodów, niech będzie mi pozwolonym dodać swoje osobiste wspomnienia.

W marcu 1917 r. na pierwszym publicznym wiecu niepodległościowym polskim w Moskwie, na którym miałem zaszczyt przewodniczyć, konsul włoski Gazarelli odczytał depezę premiera włoskiego Bozellego, który prosił zapewnić Polaków, że sympatje rządu i narodu włoskiego dla Polski są powszechne i głębokie, że względu na wspólne ideały cywilizacyjne i mogą tylko wzrastać i utrzymywać się. Wiec polski, powitawszy burzą oklasków ten głos włoski, uchwalił wysłać do ministra Bozellego depezę, z wyrazem najwyższej sympatji narodowi włoskiemu, który zawsze występował w obronie prawa i wolności ludów i pierwszy na początku wojny podjął hasło niepodległości Polski. W odpowiedzi na tę depezę miałem zaszczyt otrzymać telegram od ministra Bozellego, który pozwolił sobie tu przytoczyć: „Czuję się szczęśliwym, — pisał minister włoski, — z powodu rosnącej coraz bardziej między Polakami i Włochami sympatji, natchnionej wspólnymi ideałami wolności i sprawiedliwości międzynarodowej“. Drugie echo tych samych wznieśliśmy uczuć słyszeliśmy na obchodzie Kościuszkowskim w październiku 1917 r., kiedy ambasador włoski Carlotti-de-Ribepetra, w otoczeniu ambasadorów innych wielkich mocarstw, wskazywał odbudowę Polski, jako jeden z celów wojny.

Przed paru laty, będąc we Włoszech, byłem szczęśliwy, mogąc stwierdzić te słowa ministra włoskiego, że coraz bardziej rośnie sympatja mię-

dzy Polską a Italją i wasz przyjazd, drodzy goście, jest jednym z objawów tej rosnącej sympatji.

W tej chwili stają mi w pamięci słowa naszego znakomitego uczonego, prof. Tadeusza Zielińskiego, który wczoraj w uniwersytecie naszej stolicy składał hołd uniwersytetowi w Padwie i w podniosłym nastroju mówił o „sanctissimum humanitatis asilum.“

Spełniły się marzenia ojców naszych, są wolne i zjednoczone Włochy, jest Polska wolna i zjednoczona.

Lecz czy można powiedzieć, że w całej pełni i głębi spełniły się marzenia i urzeczywistnione zostały ideały ojców naszych, którzy sprawę wolności swoich narodów łączyli ze sprawiedliwością powszechną, z wolnością i braterstwem ludów.

Mickiewicz mówił niegdyś o tych wspólnych polsko-włoskich ideałach:

„Oba narody, które zaprzysiężona tyranja wymazała z księgi życia, oba ludy, które wycierpiał najdłużej męczeństwo i najdłużej żywiły w sobie nadzieję, a w szkole boleści dojrzały do pojęcia sprawiedliwości, uścisnęły sobie dłonie i przysięgły odkupienie narodów. Ujrzelśmy czasy cudowne i przygotowują się czasy jeszcze cudowniejsze. Oby ludzie stali się godnymi wydarzeń a dzieła godne myśli“.

Czy możemy z czystym sumieniem twierdzić, że dzieła dzisiejszej Europy są godne myśli Mickiewicza, Garibaldiiego i Mazziniego?

Panowie. Byłoby bluźnierstwem wobec tych wielkich imion, byłoby obrazą geniusza prawdy, jakim jest Leonardo-da-Vinci, gdybyśmy skłamali w tej chwili, odpowiadając: „tak“ na powyższe pytanie.

Europa jest bardzo daleką od ideałów naszych ojców, a stosunki dziś panujące między na-

plan. Kiedy lud przyszedł do niej po ziarno na zasiew, dała mu co żądał; nie było to wszakże świeże ziarno siewne, ale suche i martwe.

Rozumie się, zboże się nie urodziło; pola jeśli zazieleniły się, to od łopianu i innych chwastów. Cóż było robić? Wieść o cudownej Delfickiej wyroczni szybko dotarła do sąsiedniego Orchomenu. „Spytamy Appollina o przyczynę gniewu bożego!“ Królowa się uśmiechnęła: „naturalnie, zapytamy.“ Pozornie posłała gońca do Delf, ale już naprzód dała mu odpowiedź, tak że boga nie było po co niepokoić. A odpowiedź brzmiała: „Odkupujecie winę Nefali, co porzuciła drogi niebieskie, by żyć bezprawnie ze śmiertelnym; nie prędzej ustanie gniew boży, aż Zeus w ofierze otrzyma, królewicza Fryksa, jej syna“.

Jęk ozwał się wśród tłumów zebranego ludu, gdy mu przeczytano odpowiedź; ale z gniewem bożym nie można żartować. Zaczęli żądać od króla, aby wykonał mniemany wyrok Apollina. A ten bezwolny, i niespełna rozumu, poddał się; Ino, naturalnie, tembardziej się nie sprzeciwiała. W najbliższą pełnię miesiąca miał być spełniony straszny obrzęd: zarżnięcie człowieka — dziecka na ołtarzu boga.

III.

Hella nie odstępowała swego brata skazańca. „Mateczko, gdzie jesteś?“ zpytywała, „matecz-

ko, ratuj swe opuszczone dziatki!“ Ale Fryks pośpiesznie pochylił głowę: „Jak może nam pomóc? Czyż biedna nimfa zmieni wolę Zeusa i postanowienie Appollina?“ Ale cóż to? Po czystym łazurze nieba złota chmurka płynie, opuszcza się coraz niżej, a niżej; tak, to ona, ich upragniona matka. Zstępuje, a za nią idzie niewidzialny cud-olbrzym — baran o złotem runie. „Woli Zeusa i słów Appollina nie mogła bym naruszyć, ale nie oni tu działają, lecz kłamstwo waszej złej macochoy... Zaufajcie temu baranowi, lecz silnie trzymajcie się jego runa. Atoli ślub złożony Zeusowi musi być wykonany: dokąd was baran zaniesie, tam złożycie go w ofierze Zeusowi“. Ucałowała swe dziatki, zostawiła im barana, a sama pomknęła na swej powietrznej łodzi.

Nie tracąc chwili, Fryks i Hella usadowili się na szerokim grzbiecie barana, który szybko pobiegł w stronę morza, oblewającego brzeg Beocji, pomiędzy nią i Eubeją i dalej, wciąż dalej po pełnym morzu. Płyną i płyną — Fryks trzyma się silnie, ale Hella już słabnie. O, chwala bogom, oto już widać ląd stały. Hella się cieszy, zaraz będzie można zejść na ląd, ale nie, nagle występuje cieśnina i baran gwałtownie w nią skręca.

Hella krzyknęła i usuwa się w szafirową głębię. Pochłonięta ją w mgnieniu oka, — a baran uniósł dalej Fryksa, zanim ten oprzytom-

rodami są raczej zaprzeczeniem niż spełnieniem tych ideałów.

Pamiętajmy więc o tem, że wspólny idealny cel sojuszu braterskiego polsko-włoskiego nie jest jeszcze osiągnięty. Niechże ten cel nadal przyświeca i Polsce i Włochom. Niech żyje wielka Italia, dziedziczka ideałów Garibaldiego, niech żyje wolność powszechna i ludów braterstwo. Niech żyje aeternum, humanitatis asilum!

Następnie przemawiała p. *Julja Dieksteinówna*, która charakteryzując działalność Koła Polsko-Włoskiego między innymi powiedziała:

Parę tygodni temu na tem samym miejscu złożyliśmy hołd synowi naszego wieszczu, aby okazać, że jesteśmy wierni ideałom mickiewiczowskiemu, właśnie tu na, polu pracy polsko-włoskiej, ponieważ ten syn, dziś czcigodny starzec osiemdziesięcioletni obdarzył naród swój księgą o włoskim legjonie swego nieśmiertelnego ojca. Nie dawniej jak wczoraj, z inicjatywy Koła Leonarda uniwersytet stołeczny składał hołd sędziwej wszechnicy nadeńskiej. Wzdłuż jej siedmiowiekowej drogi ileż błyszczących światła polskich! W tak długiej przyjaźni niema między nami żadnego nieporozumienia, więcej—niema żadnego interesu realnego—wiązaniami nam były zawsze najwyższe duchowe wartości—myśl odkrywczą i twórczość. A jeżeli szukamy łącznika bardziej fizycznego, materialnego, to chyba wskazać możemy tę krew, waszą i naszą, wylaną wzajemnie za naszą i waszą wolność. Dziś może czasy wołają o inne spoidła, dziś może, zgodnie ze słowami jednego z wielkich naszych poetów „trzeba rzucić granity pod tęczę“. Zaczyna się kłaść granity pomiędzy Polską a Włochami i może między tymi kładącymi jesteście i wy, panowie. Życzymy Wam powodzenia, myśląc o obu łączą-

cych się krajach i najmilej witamy w Was nowych współpracowników.

Tu, na tem samym miejscu, poczczone był Dante, tu zrodziła się inicjatywa, która potem szeroko poszła głosem przez stolicę i kraj: złożenia hołdu wdzięczności wyzwolonej Polski cieniowi Francesca Nulla, tu przebywaliśmy z Leonardem. Carduccim, Pascolim. Tu polacy skłaniali się i skłaniać się będą przed nieśmiertelnymi duchami Włoch, tu mieli szczęście widzieć między sobą, dziś już bardzo licznych, znakomitych przedstawicieli Włoch żywych. A po każdych takich odwiedzinach ciasne ściany nasze rozszerzały się; w Polsce od wieków mówi się, że kiedy wchodzi gość, rozszerzają się ściany, przy każdych czuliśmy się bliżsi Italji i praca nasza wydawała nam się pożyteczniejsza. Wyznajemy to dziś przed wami i prosimy was: zostawcie nam tu trochę waszych Włoch, abyśmy je czuli, gdy zostaniemy sami i weźcie ze sobą trochę naszej Polski. Opowiadajcie, powróciwszy do siebie, o tej naszej maleńkiej kuźni ideałów, ale nie ukrywajcie, że jesteśmy mali, nie powiększajcie nas, chcemy uchodzić za to, czem jesteśmy: za młodych szermierzy zapału, przyświadczających najwyższej prawdzie ludzkiej, że duch jest wszystkim. Tak mówcie o nas i te nasze ściany, rozszerzone radością, że Was objęły, odbiją okrzyk naszych serc, który aż do serca Waszej ojczyzny niech pójdzie za Wami: Niech żyje nasza droga, ukochana Italia, niech żyje i kwitnie na chwałę ludzkości.

Profesor Tadeusz Zieliński wygłosił świetną, klasyczną włoszczyzną przepiękne przemówienie o głębszym, historjozoficznym podkładzie. Przedstawił południe jako ojczyznę wolności, gdzie pierwszy raz stanął wolny twór — człowiek, i północ, ciężka, smętną równinę, na której od wieków

nieć zdołał. A cieśnina w której utonęła Hella została od jej imienia nazwana Hellespontem (Hellēspontos) t. j. morzem Helle.

Znów morze, Propontyda i znów cieśnina, Bosfor, na krańcu jego dwie szafirowe skały zamykające się i rozstępujące; zgubne są one dla okrętów, lecz baran szybko przeniósł między niemi swego jeźdźca... A potem ściele się bezmierna tafla nowego morza, tego, które później nazywano Pontem Euxyńskim, t. j. Gościnnem, a my nazywamy Czarnem. I jeszcze długi szereg dni męczącej jazdy, lecz oto nareszcie niezawodny kres. Brzeg, skały, lasy—ponura, niesamowita okolica.

Frvks spełnił zlecenie swej matki złożył zbacę swego w ofierze Zeusowi i dał się zaprowadzić do króla — a królem był Ectes, syn Słońca, kraj zaś jego zwano Kolchydą. Chciwie błysnęły oczy barbarzyńcy, gdy w rękach gościa zoczył cenny dar. Przyjął go z honorami, a nie mając synów, ożenił go ze swą starszą córką Chalcyopą. Młodsza była jeszcze dziewczynką; zwano ją Medea.

IV.

Lecz zostawmy naszego zbiega w Kolchydzie i wróćmy do jego ojczyzny.

Wzburzenie ludu, wywołane zniknięciem dzieci Nefali, powoli się uspokoiło, szczególnie, gdy następny zasiew dał zwykły urodzaj. Ino uspokoiła się również; tak czy inaczej, zniena-

widzeni pasierbowie byli usunieni; teraz, myślała, moi synowie odziedziczą władzę nad Orchomenem. I gdy rozległ się zew z Parnasu—zew, zwołujący bachantki do korowodu na świętą polanę, i ona dała się porwać pokosie. I poszła Ino na Parnas, poszła i nie wróciła.

Zaczęto podrwiwać: oto i druga żona od niego uciekła! Cóż, mówili inni, trzeba mu znaleźć trzecią. Atamas, do reszty zwatławy umysłowo, nie stawiał oporu. Nie był on pociągającym małżonkiem, ale tem ponętniejsze było królestwo orchomeńskie. Znalazła się chętna, była to znów królewna, imieniem Temisto. Nie była ona lepszą od swej poprzedniczki, a znacznie mniej madra, i kiedy na świat przyszedł jej własne dzieci, jeden po drugim dwaj chłopcy, zniemawidziła swych pasierbów równie namiętnie, jak niegdyś ich matka dzieci Nefali...

Ale nienawiść jej pozostała tylko nienawiścią: była by nie od tego, aby je zgładzić, lecz nie wiedziała jak się wziąć do czynu.

V.

Aż oto razu pewnego, gdy Atamas, wyszedłszy w pole, wygrzewał się na pagórku w promieniach wiosennego słońca, spostrzegł wędrownicę, z trudnością wlokącą się po drodze delfickiej. Ubrana w łachmany, wspierała się na kiju; na bładem atoli jej licu widniały ślady dawnej piękności. Podeszła do Atamasa i zatrzymała się, a smutny uśmiech przesunął

władala niewola. My, Polska, dawno już, odwróci-
liśmy się twarzą w owo słońce, południe, wolność;
stamtąd szły promienie do ducha naszego i kultury.
Dlatego my, na północy, jesteśmy narodem połud-
niowym, jesteście narodem wolności, dlatego tak
bliski i pokrewny nam jest prawdziwy syn połud-
nia — naród włoski. I dlatego, jeżeli nawet chwilowo
zam'glą się nasze stosunki, boli nas to, ale wiemy,
że to przemijające, łączność zwycięży, bo łączność
wypływa z naszej istoty — jest wieczna.

Z porwającym zapalem odpowiedział mów-
com polskim p. *Romolo Murri*, dawny poseł do
parlamentu, współpracownik radykalnej rzymskiej
Azione i bolońskiego Resto del Carlino. Nawiązu-
jąc do końcowych słów p. Dicksteinówny, prośby
o zostawienie nam w Polsce cząstki Włoch, p. Murri
zapewniał, że on tu właśnie Włochy zastał, że on
i towarzysze jego czują się, jakby byli we własnym
kraju, tak tu podobnie i tak miłośnicie-włosko biją
serca. Nie przypuszczali takiej bliskości, takiej toż-
samości, takiego zrozumienia i odczucia. Są za-
chwyceni, porwani. Pokochali nas, przejmują się
wszystkiem co nasze, miłują naszą wolność. I nie-
tylko w przeszłości lała się krew polska za Włochy
a włoska za Polskę, włosi i w tej chwili go-
towi by dać życie za sprawę Polski i gdyby na-
sza wolność kiedykolwiek wymagała tego. Italja,
odwieczny rywal wolności, nadbiegnie w jednej
chwili i będzie przy naszym boku walczyła za to,
co nam wspólnie drogie. Ze słów tych bił niepo-
wstrzymany entuzjazm. Goście włoscy opuszczali
Koło wśród frenetycznych okrzyków na cześć dwu
ojczyzn i jednego wielkiego uczucia. Godzinę spę-
dzoną w Kole Leonardo da Vinci nazwali nieza-
pomnianym punktem swego pobytu w Warszawie,
wyjściem poza wszelki konwenans i urzędowość,

szczytną chwilą prawdziwego zbratania, zlania się
dwojga w jedno, tryumfu ideału.

PIERWSZY WSZECHPOLSKI KONGRES ESPERANTYSTÓW.

Podczas Zielonych Świąt, dn. 3, 4 i 5 b. m.,
odbywał się w Warszawie pierwszy wszechpolski
zjazd esperantystów, który zgromadził zgórą 500
uczestników. Nie jest to cyfra odpowiadająca ilo-
ści rzeczywistych wyznawców esperanta — jest bar-
dzo wielu zwolenników zgromadzonych w kilku-
dziesięciu mniejszych i większych stowarzyszeniach
rozsianych po całej Polsce, które przysłały delega-
tów. Wszystkie większe miasta polskie były w ten
sposób reprezentowane przez delegatów tych sto-
warzyszeń. Były więc prócz Warszawy z jej 3 sto-
warzyszeniami: Kraków, Poznań, Lwów, Bydgoszcz,
Bielsk, Cieszyn, Białystok, Łódź, Siedlce, — wymie-
niamy tylko te, które były liczniej reprezentowane.
Byli też przedstawiciele z niemieckiej i czeskiej
części Ślązka.

Na zjazd przybył przedstawiciel Naczelnika
Państwa Gen. Jacyna i delegat Min. Spr. Zagra-
nicznych p. L. Klimecki. Dano ogólny wyraz ra-
dości, że zjazd po raz pierwszy może się odbyć
na wolnej Ziemi Polskiej. Przemówienie powital-
ne wygłaszane w tym duchu przez prezesa Zjazdu
i depeze powitalne, zwłaszcza z Francji (gen. Se-
bert) i z Anglii (prezes Zjazdów prof. Dr. Warden),
które w tym duchu były zredagowane, były entu-
zjastycznie przez uczestników Zjazdu przyjęte.
Pierwszy to raz zielony sztandar Esperanta zawisł
pod opieką pięknego amarantowego sztandaru z or-
łem białym.

się po jej ustach: „Czy poznajesz?“. Atamas
z przerażeniem odskoczył: „Ty żeś to, Ino? Jak-
żeż cię to puściła królowa cieniów?“. Lecz, nie,
była ona żywa. Pozostała wtenczas daleko za
bachantkami, pojмали ją rozbójnicy, uprowadzili
i sprzedali w niewolę; nareszcie udało jej się
uciec i oto wróciła. Nie ulżyło to Atamasowi;
co począć? Prawo greckie nie zezwala na dwie
żony razem. Uważnie wysłuchała go Ino, nie
wyrzekła skargi, nie czyniła wymówek; tylko
pogardliwy uśmiech chwilami gościł na jej
ustach. „Byłam tam niewolnicą, będę nią i tu“,
rzekła „odprowadź mnie do domu i powiedz
twojej nowej królowej, że kupiłeś mnie od prze-
jeżdżającego handlarza niewolników“.

Atamas spełnił jej polecenie. Temisto
z początku nie zwróciła uwagi na niepozorną
niewolnicę; ale ta niewolnica umiała tak dobrze
jej we wszystkim dogadzać, a jednocześnie
wykazała tyle umiejętności i wiedzy w gospo-
darstwie, że ta wkrótce się bez niej obejść nie
mogła. Ona zaś sama zdążyła się tak zmienić
i zbrzdąnąć przez lata swej niewolniczej służ-
by, że nie tylko czeladź, ale i własne dzieci nie
mogły jej poznać...

VI.

Minęły ledwo trzy miesiące, a stała się
najbliższą powiernicą nieprzezornej królowej
i w rzeczywistości po dawnemu rządziła całym
domem. I oto kiedyś Temisto zwierzyła jej się

z najszybszym swym życzeniem — życzeniem
zglądzenia pasierbów. Uśmiechnęła się Ino:
„O gdybyś wiedziała, jak jestem do ciebie po-
dobną!“. I znów Alastor szepnął jej zbrodnicze
słowo: zabić, tak, zabić, tylko nie swą ręką.
Więc odpowiedziała królowej: cóż może być
prostsze? Ale jak? — W nocy ich zgładzisz.
A potem? Rzucimy ich trupy do starej zaroś-
niętej studni. A czeladź? Poślemy ją na cał-
nocne święto Trofonjusza (miejscowego bóstwa).
A król? Ino wzgardliwie machnęła ręką. Ale
co powie lud? Powie, że uciekli na złotym ba-
ranie; to się tu zdarza.

Nadeszło święto Trofonjusza; poszła cze-
ladź i tylko królowa z Ino pozostały w pałacu.
„Słuchaj, zaczęła Ino, podając królowej wzięty
z królewskiej sypialni miecz, wiesz gdzie są po-
słania twych dzieci, a gdzie posłania pasierbów.
Żebyś się zmylić nie mogła, nakryłam dzieci
białą, a pasierbów czarną owczą skórą“. Temi-
sto, cała drżąca, przyjęła podany miecz i weszła
do komnaty dzieci. Towarzyszył jej szyderycy
uśmiech Ino; nie warto mówić nawet, że kładąc
spać dzieci, przelożyła je, z pokryciami postą-
piła właśnie naodwrot, a świecznik postawiła
w takiej odległości od paślan, aby nie można
było rozróżnić twarzy.

Stoi Ino pod drzwiami dziecinnej komnaty
i przysłuchuje się; z początku cicho zupełnie,
ledwo kroki słychać. Pewnie się skrada. Znów

Zjazd miał za zadanie policzyć siły swych wyznawców w Polsce przygotować teren na najbliższy zjazd międzynarodowy w Warszawie i współdziałać z szeroko po wszystkich państwach rozbrzmiewającym hasłem wprowadzenia esperanta do szkół początkowych, jako wstępu do nauki innych obcych języków.

Ten ostatni punkt wybił się na pierwszy plan, zwłaszcza po referacie delegata Prof. Czybryńskiego ze zjazdu Pedagogów w Genewie odbytego przed miesiącem.

Na zjeździe owym 102 pedagogowie przedstawiciele 28 stowarzyszeń i 16 państw wydali odezwę do pedagogów całego świata wyjaśniającą pogląd zebranych na korzyści wynikające z nauki esperanta. Pomiędzy podpisami figuruje 29 przedstawicieli Anglii, 20 Francji, 13 Włoch, 6 Niemiec, dalej są przedstawiciele Chin, Japonji, Jugosławji, Bułgarji, Grecji, Danji, Holandji, Belgji i innych.

Przewodnią myślą odezwy tej jest dążenie do indywidualizacji zdolności uczniów i ułatwienie obrania sobie zawodu.

Język esperanto jako język o gramatyce i składni do możliwych granic uproszczonej, zawierający źródłosłowy ze wszystkich języków europejskich i mający prawidłową (polsko-włoską) wymowę samogłosek, najlepiej się nadaje jako wstęp do nauki języków obcych klasycznych i żywych. Uczniowie znający język esperanto, którego mogą się nauczyć biegle w ciągu jednego roku (po 2 godz. na tydzień), gdy innych nawet po 3 latach nigdy w tym stopniu nie osiągają, łatwiej uczą się języków obcych i ulepszają wymowę we własnym, dążąc do ujednostajnienia wymowy w samogłoskach i spółgłoskach. Uczeń, któremu trudno idzie nauka esperanta nie powinien iść w kierunku nauki

języków obcych, lecz winien swe zdolności obrócić w inną stronę.

Już po kilku tygodniach uczeń czyta książki i gazety w języku esperanto i koresponduje ze wszystkimi narodami całej kuli ziemskiej.

Ile na tem zyskuje nauka geografji i historii oraz poznanie kultury wszystkich krajów — to widać ci, którzy naukę w ten sposób prowadzą.

Nic bardziej od esperanta nie pobudza dziecka do pokojowego współżycia z innymi narodami. Wyrabia to wysoki ideał etyczny i poszanowanie praw i przekonania wzajemnych.

Odezwe powyższej treści wyżej wymienieni pedagogowie polecają uwadze całego wykształconego świata.

Zjazd zajął się wydaniem obszerniejszego opisu genewskiego zjazdu i zebrał na to potrzebny fundusz do dyspozycji prof. Czybryńskiego.

Z innych spraw Zjazd zajął się utworzeniem Instytutu Centralnego do nauki instruktorów języka esperanta, który odbył pierwszy egzamin kandydatów.

Prócz tego utworzony został komitet mający na celu uzasadnienie Zjazdu międzynarodowego w Warszawie, w czem współdziałać ma Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Wycieczki mające na celu zwiedzenie miasta i jego zabytków oraz urządzeń wypełniły resztę szczipłego okresu czasu zjazdowego. Prof. Bujwid.

IDEE I ŻYCIE.

Uczone kobiety polskie i książki o nich.

Po przeczytaniu ciekawej, cennej pracy pani Cecylji Walewskiej: „*Kobieta polska w nauce*”

cisza. Wtem jęk, chrapanie i znowu cisza. Czyn wiłać spełniony; zaraz wyjdzie. Nie, nie wychodzi. Patrzy Ino przez szparę. Stoi przy posłaniu, słania się, rzuca się do świecznika, z nim znowu do pościeli... Rozdzierający krzyk; świecznik pada, gaśnie, czarna noc wokoło. Jeszcze jeden krzyk ostatni i znów cisza głęboka.

Gdy Ino, chwyciwszy pochodnię, płonąca w kobiecej izbie, weszła do komnaty dzieci, spojrzenie jej trafiło na królową leżącą w kałuży krwi przy posłaniu z mieczem w piersi, a na posłaniu martwe ciała jej dzieci z poderżniętymi gardłami;

Spróbowała się Ino uśmiechnąć: „Tem lepiej, i ona z niemi, dom teraz czysty. A najważniejsze: toż nie ja je zabiłam“. Ale nie zdołała uśmiechnąć się. Wogóle ona już więcej ani śmiać się, ani uśmiechać nie mogła. Ostrasznej pieczarze Trofonjusza mówiono, że kto tam zstąpił, ten się już nigdy nie śmieje. Ino nie była w pieczarze Trofonjusza, ale i ona już śmiać się, ani uśmiechać się nie mogła.

VII

Lud zachował się obojętnie wobec zdarzenia; cóż, królowa w szaleństwie zabiła dzieci i odbrała sobie życie — nikt jej nie lubił i nie żałował. Ino mogłaby śmiało się ujawnić przed ludem i czeladzią, ale nie było jej pilno. Gospodarstwo, królestwo — nic jej nie nęciło. Naprawdę, dłączegóż to nie może ona ani śmiać się ani uśmiechać? Czasami się zapomni i za-

raz jawią się przed oczyma w purpurowem świetle dwa trupy dzieciątek z poderżniętymi gardłami. I przychodziły jej dziwne myśli: „O gdybym mogła jak dawniej być w domu Atamasa nie spełniwszy niczego z tego, czego się dopuściłam!“ Więć zdumiewały ją własne myśli; zkąd one? I cóż to za nowa zamieszkała w niej siła?

Nie wiedziała jeszcze, że ta nowa siła zwie się *skruczą*. I nikt tego wówczas jeszcze nie wiedział.

Zwierz dąży prost ku swemu celowi, czy chodzi o zdobycie jada, czy też zdobycie samicy; jeżeli na to trzeba przelać krew — przelewa ją, i nikt i nic nie mówi mu, że to złe. I człowiek postępuje podobnie, póki jest zwierzęciem: Każdy czyn zły staje się dlań pobudką do dalszych niegodziwości potęgując w nim zręczność i pohopność. Lecz jeśli człowieka tego tknął już duch boży, wnet go zwierzęca natura opuszcza; i jeżeli pierwiej nie zdawał sobie sprawy, że człowiekowi nie wolno być zwierzęciem, to obecnie, nowej dopuściwszy się zbrodni, wdwojnásób to odczuje, z siłą dwakroć okrutniejszą!... Skrucza opanowała duszę Ino, i już jej nie opuści! Nie nęciło jej gospodarstwo ani państwo, ani macierzyństwo, nęciło ją cierpienie i pokuta.

VIII

Ale i Atamas się zmienił. Widok zarżniętych dzieci wstrząsnął jego duszą do posad;

(Wydawn. T-wa Zawodowego Kształc. Kobiet. Warsz. 1922) pewna byłam, że pesymizm autorki, dotyczący stosunku prasy polskiej do tematu jej książki i ujawniony w przedmiocie, okaże się niesprawiedliwym.

Myliłam się.

Dotychczas nie znalazłam nigdzie sprawozdania z pracy tej, której treść i sposób ujęcia powinny były szczerze zainteresować nasze piśmiennictwo bieżące. Bodaj więc, że słuszną jest opinia p. Walewskiej, iż prasa nasza dziwnie bojkotuje naukową działalność kobiety polskiej, okazując natomiast żywe zainteresowanie jej działalnością sceniczną. Stwierdzając więc z żalem macoszysy stosunek prasy polskiej, a nawet encyklopedji polskich do uczonego świata kobiecego u nas, zebrała p. Walewska bogaty w tej sprawie materiał i wydała go w postaci książki, aby „rozumiało społeczeństwo, ile sił zapoznanych ma w swoim łonie i, zrobiwszy rachunek sumienia, zapytało siebie, czy sprawiedliwe są organy, kontrolujące duchowy jej dorobek“.

Mimo, że naukowość kobiet w szerszym zakresie w Polsce datuje właściwie od lat 40-tu, już jednakże w 1857 r. ukazało się naukowe dzieło pierwszej filozofki polskiej, Eleonory Ziemęckiej „Zarysy filozofji katolickiej“. Słusznie też uczyniła p. Walewska, rozpoczynając od Ziemęckiej przegląd dorobku naukowego, wniesionego przez kobietę polską do skarbnicy wiedzy rodzinnej. A dorobek ten, jak stwierdza książka p. Walewskiej, przedstawia się nader pokaźnie. Nie mówiąc już o Marji Skłodowskiej-Curie, której sława wszechświatowa zbyt jest rozgłosną, aby nie miała odbić się głośnym echem i na łamach naszej prasy, zapoznajemy się bliżej, dzięki pracy p. Walewskiej,

z całym szeregiem uczonych przyrodniczek, ekonomistek, pedagogiczek, filozofek, antropologistek, historyczek, językoznawczyń, krytyczek literackich, lekarek, poetek, beletrystek, publicystek i nawet polityczek — oraz z wydanemi przez nie pracami. Przegląd ten, treściwy w podwójnem tego słowa znaczeniu, bowiem pełen treści, chociaż krótki pod względem rozmiaru, wypełnia część I-a książki. Część II-a obejmuje statystykę studentek na uniwersytetach i wyższych uczelniach polskich z dołączeniem tablicy, wyszczególniającej liczby słuchaczek w uniwersytetach: krakowskim, lubelskim, lwowskim, poznańskim, warszawskim i wileńskim na poszczególnych wydziałach. Statystyka ta, zebrana w ten sposób po raz pierwszy, stanowi nader cenny materiał, dający zarazem autorce asumpt do wniosków ogólnych na temat rozwoju ruchu naukowego wśród kobiet różnych krajów, stosunku kobiet uczonych do systematów i doktryn filozoficznych, ich stanowiska w dziedzinie nauk ścisłych oraz w dziedzinie tworzenia nowych systematów religijnych.

W części III-ej rozpatruje autorka udział uczonych polek, ściągających z obczyzny do wolnej Polski, w pracy społecznej nad jej odbudową, a nadto pomoc, udzielaną przez różne kraje — z Ameryką na czele — na rzecz rozwoju naukowości wśród kobiet. Dołączony do książki skrowidz alfabetyczny obejmuje 41 nazwisk uczonych kobiet polskich, których działalność i prace podane zostały rozbiorowi przez p. Walewską.

Bogactwo treści, cechujące pierwszą tę z danego zakresu pracę w literaturze naszej, powinno być, — jak to jest celem jej autorki — hasłem i bodźcem do dalszych w tym kierunku studjów i badań.

R. C.

czasami siedzi, utkwivszy wzrok w pustce— i nagle gniewna żyła nabiegnie krwią na czole, oczy poczerwienieją, zerwie się i ryknie.. Szczególniej drażniła go obecność żony, jak-gdyby podejrzewała o zamordowanie młodszych dzieci. Starła się nie widywać się z nim, zamykała się w swej izbie, tuląc do siebie własnych synów. „Mnie, bogowie, mnie karzcie, nie ich!

Napróżno. Gdy razu pewnego wiodła dzieci na przechadzkę, wydało jej się, że ktoś się w krzakach zaczął. Chwycivszy szybko młodego Melikertesa na ręce, poczęła uchodzić, polecivszy starszemu Learchowi, aby podążał za nimi. Ale już było zapóźno. Ten, co się był ukrył — był to Atamas — już ich zoczył. Z dzikim rykiem skoczył w pogoń za nimi, potrząsając owym fatalnym swym mieczem: „Lwico!“ krzyknął „Lwico, oddaj swoje lwięta!“ Dopędzivszy pierwszego Learcha, zarał go.— Ino z młodszym na rękach biegła bez opamiętania, aby choć jego ocalć. Atamas oszalały pędzi za nią. Lecz straszne niebezpieczeństwo dziesięciokrotnie zwiększyło jej siły; biegnie, biegnie, droga bez końca, krwawa mgła przysłania jej oczy, prawie nie czuje ziemi pod sobą i wciąż pędzi, czując ustawiczną pogoń za sobą. Nagle powiało w twarz świeżym wiatrem morskim, jest nad urwiskiem, tam głęboko w dole białe fale tłuką się o skały... tak, lecz za nią wściekłością opętany Atamas. Jeszcze krok i runęła w huczający odmet.

IX

W przezroczym pałacu Posejdon, głęboko pod powierzchnia morza, uczują nieśmiertelni mieszkańcy płynnego żywiołu.

Na wysokim tronie sam władca trójzęba obok niego jego boska małżonka Amfitryta a obok niej — nowa uczestniczka ich błęgiego życia z dzieckiem milutkiem na rękach. Olsniwając błyszczą jej róża biała, wianek z wodorosli ocienia jej twarz nadobną, uśmiech szczęścia igra na jej świeżych ponsowych wargach. Podaje synowi kubek nektaru' napoju nieśmiertelnych, z którego przed chwilą napiła swoją część; dobrotliwie spogląda na nich władca morza—oczy, często gniewne, błyszczą w tej chwili dobrocią tylko i pieszczotą. „Ciesz się“, mówi do niej. „Leukoteo, biała bogini! Ciesz się ty i twój syn, już nie Melikertes, lecz Palemon, dziecię—wychowaniec figlarnych fall! Wiele zgrzeszyłaś i wiele wycierpiałaś, lecz oczyszczająca siła skruchy tknęła twą duszę i za to będziesz przyjęta do przybytku, w którym niema ani grzechu, ani cierpienia, ani skrucy. Towarzystwo Nereid i Trytonów, nieść będziesz kojąca pomoc ginącym w morzu żeglarzom; wdzięczni ludzie będą was czcili misterjami i korowodami, a póki Hellada nie przestanie być Helladą — imię wasze trwać będzie w pamięci jej synów!“

Dr. T. Zieliński.

LITERATURA I SZTUKA.

RAPSODJA POMORZA.

Stefan Żeromski. „Wiatr od morza“. Warszawa 1922 r. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

II.

Po dłuższym obcowaniu z Bałtykiem i z Kaszubami, Stefan Żeromski założył przed trzema laty „Towarzystwo Przejściół Pomorza“. Wiem, że istnieje statut tego Towarzystwa, bo jestem jego członkiem; nie doszło do mej wiadomości, czy Towarzystwo, z entuzjazmu poety zrodzone, rozwinęło cokolwiek swą działalność. Ale nie waham się twierdzić, że gdyby prace tego Towarzystwa zyskały rozpęd tak potężny, jak pragnęła płomienna dusza jego założyciela, nigdy nie zaważą one w dziejach kultury polskiej tyle, co właśnie „Wiatr od morza“, przedziwna książka, do której zwykły czytelnik Żeromskiego długo przyzwyczajając się musi, aby ważkość jej gatunkową ocenić, aby rozsmakować się w niej szczerze. Na przestrzeni 342 stronicy mamy tu dwie, trzy stronice „romansu“ w zwykłym słowa znaczeniu. Niezwykle zwarte, mają one wprawdzie to samo uczuciowe rozfałowanie oceaniczne, co pierwsza część „Dziejów grzechu“, ale stanowią samo przez się drobny, niespodziewany epizod. Istotę książki zawierają rapsody na marzeniu historycznym lub na historii oparte, opiewające dzieje skrawka ziemi polskiej, na które wieje wiatr od Bałtyku.

Liryzm Żeromskiego rozpierał zazwyczaj określone ramy narracji. Poeta „Popiołów“ nigdy nie był rozważnym konstruktorem gmachów swej wyobraźni. Najlepsze jego dzieła, wskutek nadmiaru niezwykle wytężonego uczucia, rozpadały się raz po raz na przepyszne fragmenty i zamknięte w sobie mniejsze całości. niby niektóre katedry gotyckie, tworzące cały las niesłychanych w pomyśle przybudówek i dywersyj. „Wiatr od morza“ otrzymał konstrukcję specjalną, narzuconą niejako przez olbrzymi, tysiąc lat dziejów zawierający materiał. Zamknięcie tak wielkiego okresu historii w osiemnastu rapsodach było zadaniem niezwykle trudnym. Trzeba było dokonywać wyboru momentów *reprezentacyjnych*, któreby nie zrywały linii opowieści a jednocześnie wyczerpać mogły najistotniejszą treść duchową przedmiotu. Trudno jest stawiąc, poecie pytanie, dla czego właśnie zainteresował go więcej ten, nie zaś inny moment dziejowy. Z przeglądu *treści* rapsodów Żeromskiego wyprowadzić łatwo wniosek, że uwagę swą twórczą skupiał przeważnie na dziejach *ziemi* pomorskiej, mniej zaś zajmował się polskimi dziejami Bałtyku i polskiej floty.

Wprawdzie historia naszej marynarki nie świadczy o tem, abyśmy mieli kiedykolwiek istotne, głębokie poczucie wartości morza dla polskiego organizmu państwowego. „Nie mogła — mówi J. Bartoszewicz — Polska zdobyć się na stałą flotę, kiedy miała brzegów mor-

skich od Lewemburga i Bytowa do Rygi, a więc nawet po stracie Inflant, mniej więcej na mil sto... Mogła Polska mieć handlową i wojenną flotę, handlowa przynosiłaby jej bogactwo, wojenna przynosiłaby potęgę, broniłaby od nieprzyjaciela. Zamiast tego *ma tylko pamiątki i wspomnienia, że usiłowała*“. Ale te usiłowania były w niektórych sprawach bardzo znaczne i ciekawe.

Arcybiskup gnieźnieński już w XV wieku posiadał swe okręty, które posyłał ze zbożem do Flandrii. Za Jagiellonów Morsztyn, kupiec krakowski, na „własnych okrętach“ prowadził handel z Anglią i Hiszpanią. Zygmunt August zrazu nie miał zaufania do floty polskiej i utrzymywał, że „nasi nietylko wojny na tym żywiole nie przedsiębiorą, lecz i dla innych widoków nie tak skorzy do żeglugi, wyjąwszy kilku gdańszczan“. Ale gdy Szwedzi zaczęli Polskę zabierać zamki, król postanowił zabrać im okręty, pod wodzą admirała Tomasza Sierpinka. Mieliśmy wówczas, korsarską wprawdzie, ale własną flotę z osiemnastu okrętów złożoną. Nieco później za Zygmunta III zanotowano nawet polskie zwycięstwo morskie. Chodkiewicz zdobywa dwa szwedzkie okręty, zakupuje kilka od Anglików i Holendrów i, dołączwszy do tego kilka własnych statków pomniejszych, uderza na flotę szwedzką i odnosi świetne zwycięstwo morskie. Zniszczona w walce z duńczykami flota polska dźwiga się jeszcze raz na chwilę za czasów Władysława IV, który buduje zamki ochronne na półwyspie Hela, otwiera nowe porty, ustanawia cła na Bałtyku, wzmocnia Puck, Tczewo i port piłacki.

Te „wspomnienia“ teskne mogły by ożyć wspaniale w rapsodach Żeromskiego. Zaniechał ich. Akcja na morzu odbywa się w jednym tylko rapsodzie „Wiatru od morza“: jest to przeszliczna opowieść o pruskim dowódcy łodzi podwodnej w epoce wojny światowej. Poznajemy go najpierw w wulkanicznym romansie z własną bratową a potem śledzimy jego potworne walki ze statkami i francuskimi, tragedję zatopienia tych statków, wreszcie — ekspiacyjną zagładę łodzi podwodnej pruskiego piraty. Poza Żeromski opiewa to, co się działo na bliższym i dalszym wybrzeżu Bałtyku w ciągu wieków.

Jesteśmy najpierw w prahistorji. Oto napał wikingów na ziemię pomorską Ruszvi ze wzgórza z dziką pieśnią młodego skalda. „Wrzało w tej pieśni męstwo nieustraszone wszego wojska i pasja wszystkich wikingów, szukająca niebezpieczeństw najazdu i podboju, zwycięstw w śmiertelnych zapasach i samej nawet klęski. Pienią się w jego pieśni niepokonana siła, dziko wyla rozpacz pokonanych i bezmyślnie szalała radość. Wyrwało się z jego pieśni ponad wszystko dumne piękno łamania wszelkiego zakazu, niweczenia przeskody, imania nieulekłą prawicą wszystkiego, co istnieje. Słyszeli wszyscy w tej pieśni pochwałę wilka, idącego po sławę na pole ludzkiej walki, i pochwałę ptaka kruka, który za zdobywcami polata na pobjowiska, pełne trupów bezwładnych, bezsilnych i śmiesznych“.

Ta pieśń drużyny Rōrika jest niejako symbolicznym przyspiewem tego, co się na tej zie-

mi działało przez dziesięć wieków. Żeromski przesuwając wszystkie czary swego stylu w rapsodach następnych, gdzie opisuje ziemię, wody, moczary, wszystkie cuda natury Pomorza przedhistorycznego. Jest tu zawsze nieporównanym mistrzem opisowości. W tych to odległych czasach, wśród legend i mitów mieści poeta narodziny i pierwsze objawienie się szatana dziejów Pomorza, który otrzymał cokolwiek niespodzianą nazwę Smętka, a który z wolna urasta już to na bandyckiego krzyżaka, już to na Fryderyka II, już to wreszcie na rozpanoszoną do ostatka bestję teutońską, którą świat powalił w r. 1918. Rapsody, w których kształtują się pierwsze zarysy postaci historycznych, kończą dzieje św. Wojciecha, które Żeromski odmalował w barwach potężnych. Potem — cztery rapsody krzyżackie. Tu, na ziemi pomorskiej wypała się zaborczość i buta krzyżacka, która wydała Prusy nowoczesne i doprowadziła do katastrofy światowej. Żeromski, jako poeta, unika wszelkiego wykładu historii. Jego obrazy krzyżackie dotyczą fragmentów, w których autor przemawia do czytelnika liryzmem albo głęboką ironją pozornego obiektywizmu. Wiąże się bezpośrednio z tym obrazem krótki rapsod o Fryderyku, w którym dotychczasowa walka dwóch ras — teutońskiej i lechickiej — dochodzi do pełnej świadomości. Wytchnieniem dla poety i dla czytelnika są rapsody o wielkich ludziach, z których jeden losy swe związał z Pomorzem, drugiego zaś genjusz wszechświatowy wydała ziemia pomorska: pierwszy — to Jan z Kolna, nieustraszony marynarz polski, który dotarł do Grenlandji, a którego dramatyczną walkę z nikczemnością ludzką przy budowie własnego okrętu maluje Żeromski temi samymi barwami, jakie znamy już z „Ludzi bezdomnych“ i pierwszych jego nowel; drugi — to Kopernik, cudownie zadumany nad obrotem ciał niebieskich. Nowy rapsod opowiada nam krótko, jak to Dąbrowski szedł „na Gdańsk ku morzu“, a potem już jesteśmy pogrążeni w klęsce ostatniej walki z germanizacją aż do wyzwoleniczej chwili wojny i odrodzenia Ojczyzny. Żeromski upaja się myślą przyszłej potęgi Polski i z dumą patrzy na budowę polskiego portu: „Ten nowowysłowionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie i żelazie — ten przepotężny dramat, obejmujący wydzieranie morzu jego wód, siły, głębi i władzy — ta wspaniała powieść o rozdarcie ramieniem człowieka dziejów ziemi i kisańca ze stulecia na stulecie jej rozwoju, aby go w ciągu krótkich lat przekształcić na narzędzie własne, posłuszne woli, jak wół, koń i pies, — to nowe w polskiej lądowej duszy zatoczone dzieło, stawało się w oczach, z dnia na dzień ukazywało swe strofy nieznane“.

Celowość konstrukcyjnego planu rapsodów Żeromskiego ujawnia się w całej pełni w ich wyrazie. Przyjrzyjmy mu się zbliska, rozważmy jego bogactwo.

Jan Lorentowicz.

Walter Pater

POEZJA MICHAŁA ANIOŁA.

II.

Genjusz Michała Anioła pozostaje zawsze w harmonji z samym sobą. I podobnie jak całe zasoby słodyczy kryją się w jego sztuce poza niezmierną siłą, znajdujemy też, w tak gorzkich w swym przebiegu dziejach jego żywota, pewne strony, wplecione w ich tok ogólny, które skłonni byłibyśmy może przewrócić zbyt prędko, a które jednak zabarwiają swym czałem całą księgę. Znaczenie poematów Michała Anioła polega zwłaszcza na tem, że czynią nas one świadkami toczącej się w nim walki — walki natury mocnej, dążącej do scharmonizowania się; walki smutnej nawskroś namiętności, pragnącej zdobyć się na rezygnację i melancholijną słodycz, jaką miała w sobie miłość Danta. Spontaniczny i pozbawiony wszelkiej sztuczności charakter tej poezji sprawia, iż zbliża nas ona do niego znacznie więcej, niż mogłyby to zdziałać utwory napisane jedynie dla podtrzymania reputacji literackiej. Z listów Michała Anioła dowiadujemy się o nim niewiele szczegółów godnych zapamiętania — historii kilku nędznych sporów o pieniądze i polecenia. Inaczej dzieje się zgoła, gdy zwracamy się do pieśni i sonetów, które rzucał na papier w wolnych chwilach, kreśląc je nieraz na marginesach swych szkiców; są też nieraz same niewykończonymi szkicami, utrwalającami przelotne wrażenie lub myśl rodzącą się nagle.

Dokładne zapoznanie z nimi stało się może niepodobnem od niedawna dopiero. Niektóre z sonetów krążyły dość szeroko w rękopisie i niemal jeszcze za życia Michała Anioła stały się przedmiotem rozpraw akademickich. W tomie ukazały się dopiero jednak w r. 1623-im, staraniem wnuka mistrza, Michała Anioła Buonarroti'ego młodszego, który w wydaniu tem opuścił pewne utwory, przerobił częściowo inne, w niektórych zaś wypadkach połączył dwa, i więcej poematów w jeden, zatracając w taki sposób wiele z siły i dobitności oryginału. O powstałej w taki sposób książce zapomniano w 18-ym wieku nawet Włochy, pod wpływem francuskiego smaku, który gardził wówczas utworami tego rodzaju, jak gardził poezją, Danta bagatelizując ją stale. „Tak mało go czytają — mówi Voltaire z powodu Danta — że sława jego musi wciąż wyrastać“. Ale w r. 1858-ym ostatni z Buonarroti'ch zapisał miastu Florencji różne zabytki rodzinne, a między niemi cenny tom, zawierający autografy sonetów. „Pewien erudyt włoski“, signor Cesare Guasti, podjął wówczas pracę zestawienia tych tekstów z rękopisami, znajdującymi się w Watykanie i innych miejscach i w r. 1863-im wydał wreszcie dokładną wersję poematów z komentarzami do nich i ich parafrazą.

Poematy te uważane były nieraz za prawdziwy jęk rozpacz, skargę kochanka, wywołaną twardą obojętnością Wiktorji Colonna. Ludzie trzymający się tej opinii, zapominają widocznie, że jeśli nawet Michał Anioł spotkał był po raz pierwszy Wiktorję, tę nieco mglistą

postać, już w roku 1537-ym, co jest zupełnie możebnem, to jednak bliższa ich zażyłość zaczęła się nie wcześniej niż w r. 1542-im, gdy artysta bliskim był siedemdziesiątki. Wiktorja ze swej strony, gorąca neokatoliczka, która poprzysięgła sobie wieczne wdowieństwo na 17 lat przedtem, po otrzymaniu wiadomości, że mąż jej, młody i świetny markiz Pescara zginął z ran otrzymanych w bitwie pod Pawią, nie mogła już była stać się wówczas przedmiotem wielkiej namiętności. DIALOG wyszły z pod pióra malarza Francesco d'Ollanda, pokazuje ich nam pewnego niedzielnego popołudnia w pustem wnętrzu jednego z kościołów rzymskich, rozprawiających o zasadniczych cechach różnych szkół w sztuce, a więcej jeszcze o pismach S-go Pawła: kroczą już zwykłą drogą ludzi zmęczonych, których łączność ze światem zewnętrznym słabnie z dniem każdym i łakną takich jak oni sami beśzlonecznych radości.

W jednym z pozostałych po nim listów Michał Anioł wyraża żal z powodu, iż ucałował tylko ręce Wiktorji po jej śmierci. Zrobił lub przynajmniej zamierzał zrobić dla niej krucyfiks; w Oksfordzie znajdują się obecnie dwa rysunki, przedstawiające szkice do niego. Z aluzji, czynionych w sonetach możemy wnioskować, że po spotkaniu Wiktorji po raz pierwszy rozważał długo, czy ta ostatnia miłość nie będzie najwięcej gorzką i smutną ze wszystkich — *un dolce amaro, un si e no mi muori* i zadawał sobie pytanie, czy jest to pociąg cielesny lub też *del suo prestino stato il raggio ardente*? Obcując z tekstem z r. 1623-go, dawny krytycyzm konwencjonalny przyjął dość lekko-myślnie za pewnik, że wszystkie lub prawie wszystkie sonety mają za przedmiot Wiktorję. Guasti tymczasem twierdzi, że jest to słuszne w stosunku do czterech lub pięciu z nich zaledwie. Istnieją natomiast racje, skłaniające go to przypisywania większości tych utworów okresowi czasu pomiędzy r. 1542-im i 1547-ym; możemy też wogóle traktować je jako wspomnienie tej epoki wytchnienia w dziejach Michała Anioła. Wiemy, iż Goethe wyzwolił się z więzów nazbyt dla siebie silnych uczuć, pisząc o nich książkę. Dla Michała Anioła fakt spisania swych namiętnych rozmyślań i nadania im formy sonetu był już poniekąd owładnięciem niemi wykreśleniem im kierunku.

*La vita del mia amor non é il cor mio,
Ch'amor, di quel ch'io t'amo, e senza core.*

Dlatego właśnie, że Wiktorja nie roznieciła w nim gwałtownej namiętności, posiada okres jego życia, na który przypada jej nad nim panowanie, słodycz tak niezwykłą. Pozbawilibyśmy te sonety właściwego ich znaczenia, próbując wydzielić je z atmosfery marzenia, gdzie ludzie zdobywają wszystko czego pragną, a to z racji, że węzły ich łączności z rzeczami zewnętrznymi są już bardzo wątłe i rozluźnione.

Góruje w nich ton spokojnej i zadumanej słodyczy. Słyszymy też niewątpliwie i krzyk rozpaczny, wydającej się jednak tylko pozostałością, jakby osadem hartującej soli żelaznej, ledwie dostrzegalnym w pieśni, która tryska w tym czarownym okresie niby źródł rzeźwiący.

Owe dni pełne uroku, bez których żywot Michała Anioła byłby tak niedoskonałym w swej nadmiernej sile i które wykluczają go z rzędu tych, potępionych przez Danta, co „dobrowolnie żyją w smutku“, obejmują ściśle określony przeciąg czasu pomiędzy r. 1542-im i 1547-ym, datą śmierci Wiktorji. Uwieńczają one powodzeniem jego długotrwały wysiłek ku hamowaniu nazbyt gwałtownych wzruszeń, wznosząc je na wyżyny uczuć idealnych. Doniosłość roli Wiktorji polega właśnie na wniesieniu w jego życie tego rodzaju przywiązania, które zawodząc nawet, koi jeszcze duszę i jest jej osłoda. Tę dążność ku wprowadzeniu do istnienia spokoju i słodyczy przez idealizowanie jego namiętności wyobrażają sobą dwa wielkie typy tradycyjne, z których każdy mógł jednakowo służyć za wzór Włochowi XVI-go stulecia. Był Dante, którego niewielki zbiór poematów *Vita Nuova* stał się prędko w dziedzinie miłości imaginatywnym takim wzorem, naśladowanym dość słabo przez późniejszych uczniów Petrarki. I był Platon, którego tradycja zaszczerpiła się we Włoszech, odkąd imię jego stało się tam czemś więcej niż czczym dźwiękiem po dokonaniu przez Marsilia Ficino łacińskiego przekładu dzieł jego. Wiara Dantego w zmartwychpowstanie ciała, dzięki której Beatrycza nie traci dłoń nawet w niebie barw żywego ciała, ni żadnej z fałd swej szaty, i marzenia Platona o przechodzeniu duszy z jednej formy życia do drugiej z gorącym pragnieniem wyzwolenia się całkowicie z więzów kształtów cielesnych, przedstawiają, o ile chodzi o oddziaływanie na sztukę i literaturę, dwie krańcowo przeciwstawne zasady. Poezję Michała Anioła urobiła raczej tradycja Platona niż Dantego. Żadne uczucie nie może być pod wielu względami mniej podobne do miłości Dantego dla Beatryczy niż miłość Michała Anioła dla Wiktorji Colony. Dante przychodzi, gdy Beatrycza jest dzieckiem i ma jego niepewną wizję, jego ciekawe wpatżenia. Wpływ zewnętrznych okoliczności nie zdołał jeszcze odbić się na jej charakterze, pozbawionym niemal wyrazu. Wiktorja natomiast—to już kobieta zmęczona, w starszym wieku, posiadająca wysokie zalety intelektualne. Historia miłości Dantego jest jakby mozaiką czarownych przygód. W poematach Michała Anioła jedynymi niemal obrazami są mróz i ogień — wysubtelniający ogień złotnika; parokrotnie występuje też feniks, lód topniejący przy ogniu, ogień wydobyty ze skały, którą przetrawi następnie swym płomieniem. Z wyjątkiem jednej wątpliwej aluzji do jakiegś podróży, niema tu prawie wydarzeń. Jest natomiast wiele tej świetnej, przenikliwej, nieomyślnej zręczności, która kierowała jego ręką w młodzieńczych latach, gdy jednym uderzeniem młotka wybijał zęb ze szczęki fauna, by nadać mu pozory starości. Miły i nabożny materjalizm średniowiecza uświęca dla Dantego wszystko co nasuwa mu się pod rękę czy oko. Michał Anioł spieszy zawsze od piękna zewnętrznego — *il bel del fuor che agli occhi piace* — ku niewidzialnemu pięknu — *trascenda nella forme universale*, tej abstrakcyjnej jego formie, o której rozprawiają Platonicy. Dla

tego w myśli jego jest coś nieuchwytnego; zdać by się mogło, że żyje w niej duch wezbrany skargą i bezdomny, który ma niemal moc widzenia po przez wątłe i posłuszne ciało. Miłość od pierwszego wejrzenia wyjaśnia jakimś poprzednim stanem istnienia — *la dore io t'amai prima*.

Na wielu jednak punktach podobnym jest do Dantego i więcej bliskim tego pierwowzoru niż mniej udolni późniejsi naśladowcy Petrarcki. Od Dantego raczej niż od Platona nauczył się, że dla kochanka przesył miłosny — *ove gran desin gran copia affrena* jest stanem mniej szczęśliwym niż udręczenie pełne nadziei — *una miseria di speranza plena*. Przypomina go w częstem używaniu słów *genile* i *cortesia*, w personifikowaniu Amora, w dążności do drobiazgowego opisywania fizycznego działania na bicie pulsu i serca obecności ukochanej istoty. Nade wszystko zaś upodobnia mu się przez intensywność i gorący zapach swych przekonań politycznych. Bohdanką, którą opiewa w jednym z najszlachetniejszych swych sonetów, jest Florencja; twierdzi, iż wszystko w niebie pogrążone jest chyba w uśpieniu, jeśli ją, obdarzoną „formą anielską“ dla tysiąca miłośników, mógł przywłaszczyć sobie jeden — jakiś Piotr czy Aleksander Medyceusz. Parokrotnie wprowadza Śmierć i Miłość, toczące o niego spory. Podobnie bowiem jak dla Dantego i wszystkich podnioslejszych umysłów Italji, śmierć jest dlań częstym przedmiotem rozważań. Największe początkowo z nieszczęść i najcięższy ze smutków, zjawia się grudą ziemi miast mózgu i śmierć w swem wysokiem dostojenstwie i odzwierciedleniu od powszednich potrzeb, w szybkim wyzwoleniu się ze smutnych stygmatów życia i czynu.

Ci, których umiłowali bogowie, umierają często młodo. Umilowany od nich Michał Anioł zapóźnił się w życiu aż do podeszłej, niemal patryjchalnej starości, pokąd miękkość, która urabiała się w nim tak długo, nie uzewnętrzniła się w końcu. Z siły wyłoniła się słodycz — *ex forti dulcedo*. Świat zmienił się naokół niego. Po Odrodzeniu przyszedł neo-katolicyzm. Uległ zmianie sam duch rzymskiego kościoła: wydawał się on potężniejszym niż kiedykolwiek w olbrzymiej katedrze wszechświata do której wzniesienia przyczynił się również genjusz Michała Anioła. Niektórzy z pierwszych członków *Ora-torium* należeli do rzędu jego najwięcej zażyłych towarzyszy. Różni byli nieskończenie duchem od Wawrzyńca Medyceusza i nawet Savonaroli. Niejednokrotnie rozwodzono się na tem, jak przeciwną sztuce była reformacja; odrodzenie katolickie okazało się wobec niej jeszcze bardziej wrogiem. Zamykając się w zimnej ortodoksji, kościół katolicki przeszedł mimo Michała Anioła; był mu on teraz obcym. W dniach wcześniejszych, gdy zasady tego kościoła nie były jeszcze ustalone, mógł się być mieszać jak inni w toczące się spory; mógłby być przemawiać wraz z Savonarolą za nadaniem władzy papieskiej charakteru czysto duchowego, lub jak Pico de la Mirandola próbować godzić marzenia Platona czy Holmera ze słowami Chrystusa. Lecz rzeczy posunęły się już były

dalej; szukanie podobnych rozwiązań nie było nadal możliwym. Sam Michał Anioł zresztą zwrócił się już był oddawna do tego boskiego ideału, który tworzył się w ciągu wieków ponad przemijającemi wierzeniami jako karm dusz najszlachetniejszych. Począł odczuwać ten wpływ uspokajający, jaki kościół rzymski wywierał często wówczas już na ludzi zbyt niezależnych, by zostać jego wiernymi synami, ale podlegających jego atrakcji. Doznawał pociechy i ukojenia, jakich doznawałby podróżnik, wypoczywający przez jeden wieczór w obcym mieście wobec jego majestatycznej fizjonomji i rozmyślając nad jego przeznaczeniami, dlatego właśnie, że nie łączy go z niemi nic zgoła. Jest duchem z innego wieku — *un revenant*, jak mówią Francuzi, zabłąkanym wśród świata zbyt wulgarnego, by stykanie się z nim mogło oddziaływać silniej na jego nadwątloną wrażliwość. Śród tego wyczerpanego społeczeństwa, teatralnego w swem życiu, w swej sztuce, nawet w swej pobożności, marzy o zaraniu dziejów ludzkości, o pierwotnej postaci człowieka i formie w jakiej wyobrażano sobie siły duchowe w owej wczesnej dobie.

(Tłum. Marja Rakowska.)

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

Malarstwo.

3. Bukowina.

Mała ta kraina wbita jest klinem między ortodoksyjnymi Rumuńczykami i Ukraińcami na rubieży katolicyzmu. „Chcąc ustalić bardziej bezpośrednie i wygodniejsze połączenie pomiędzy Siedmiogrodem i Galicją, uzyskaną przy pierwszym rozbiórce Polski w r. 1772, przeprowadził Józef II w r. 1773 zdobycie północnej Mołdawji. W następnych latach kraj zajęty został przez generała Spleny, który pozostawił cenny opis ówczesnego stanu Bukowiny. W ten sposób z rąk tureckich przeszedł kraj ten w ręce austriackie. Od tej pory została Bukowina członkiem środkowo-europejskiego Związku Państw, rozwiązanego w roku 1866. Ważnem zadaniem wiedzy byłoby przygotowanie poprzez Galicję, Ukrainę i Bukowinę drogi do morza Czarnego i na Daleki Wschód. Dwie narodowości nadają się w pierwszym rzędzie do tego: Ukraińcy (Rusini) i Rumuni z Bukowiny, oba narody złączone w ortodoksyjnym kościele.

O ile chodzi o sztuki plastyczne, rumuńskie południe przedstawia o wiele większą wartość. Rusini rozporządzają jedynie typowo ukraińskimi drewnianemi kościołami. Natomiast klasztory rumuńskie, o jakich mówiliśmy wyżej, odzwierciedlają w posiadłościach swoich wysoką kulturę kościelną, która, jak to widziliśmy na przykładzie klasztoru Dochiarin, wywarła wpływ aż po górę Ałos. Byłoby rzeczą pożądaną, aby miarodajne sfery przeprowadziły zgodnie z wymaganiami nauki urzędowy spis malowideł i innych artystycznych skarbów. Przedewszystkiem należy do każdego z tych kościołów niewyczerpane niemal bogactwo haftów. W Putnie napełniają one wielką skrzynię, w Suczawicy największe z pośród nich dziś jeszcze wystawione są w kaplicy fundatora, wojewody Je-

remjasza Mohiły z r. 1606. Wojewoda wyobrażony jest postawnie, jak na obrazach perskich; z lewej strony u góry widać godło jego domu, z prawej zaś kościół, błogosławiony ręką Boga. Napis w kościelnym języku słowiańskim, podający ściśle wszystkie daty, tworzy brzeg wielkiego haftu o rozmiarach 1,45×2,33 m. Poza takimi całunami znajdują się również w niezliczonej ilości właściwe przybory kościelne, często bogato naszywane perłami, że wymienimy głównie duże kupy wielkopiątkowe z wyobrażeniem oplakiwania Chrystusa, przykrycia kielichów z wyobrażeniem Eucharystji oraz części ornatu kapłańskiego, wszystkie bogato zahaftowane scenami i pojedynczymi postaciami.

Obok haftów mamy malowidła na drzewie w nieskończonym szeregu dzieł, przedewszystkiem zaś takie, które się odnoszą do ikonostasu. Dla grupy tej rozpatrzmy tytułem przykładu obraz św. Mikołaja z 1505 r., w kościele w Suczawicy, pochodzący z klasztoru w Maniawie, odnowiony w r. 1697 przez malarza Jolę, hieromonacha. Rama zrobiona jest w Radowcach i na nowo pozłociona w r. 1598. Widzimy tam papiersia Świętego, Chrystusa i Marji, całe zaś tło obrazu, matalowe, jak zwykle, pokryte jest bogatymi ozdobami w kształcie wici, tworzącymi typowe arabeski, oraz napisami: Świętobliwy biskup wyobrażony jest z ewangelją w lewej ręku, podczas gdy prawą rękę wznosi do błogosławieństwa. Malowidło z obojętnym wyrazem wewnętrznego skupienia jest stosunkowo dobre. Tego rodzaju obrazów istnieją w każdym kościele całe setki, gdy do nich doliczymy obrazy ikonostasu, rzadko jednak dorównują w doskonałości wyżej opisanemu. Szkoły malarskie, zwłaszcza klasztorne, zalewają cały wschód tuzinkowym towarem.

Trzecią grupę stanowią rękopisy, przedewszystkiem zaś ewangelje i psalterze. Zarówno na Bukowinie, jak i w Armenji, są one oprawne w srebrne okładki z łańcuszkami na grzbietach i przedstawiają tak na przedniej, jak i na tylnej stronie sceny i figury, najczęściej zejście Chrystusa do ojców i śmierć Matki Boskiej. Na Bukowinie przeważa szkoła, którą zgrupowałbym dokoła osoby metropolity Krimki, pochowanego w Dragomirnie. Rękopisy zawierają bogate, ozdobne minjatury. W Suczawicy jest księga z r. 1607, zawierająca ewangelję według Mateusza. Pośrodku listwy wi-

dzimy piszącego Apostoła, otoczonego różnemi postaciami w medaljonach, na tle wici, w ramie kwadratowej z typowemi ornamentami z palmet w kształcie arabesek, które, jak wyżej mówiliśmy, z Persji, poprzez Armenję i Bizancjum, dotarły aż do krajów słowiańskich i czasów późniejszych. Poniżej Chrystus jako kapłan pomiędzy Mateuszem i widokiem miasta. Należy zwrócić uwagę na szaty, kreskowane linjami złotemi, charakterystycznymi dla szkoły Krimki. Mszał posiada na każdej stronie jeden lub kilka pasów ze scenami z ewangelji. Zazwyczaj też spotyka się — podobnie, jak w malowidłach kościelnych — tego księcia, który zamówił dany rękopis, samego albo idącego z rodziną słudami Marji ku siedzącemu na tronie Chrystusowi.

Poza przytoczonymi drobniejszymi dziełami sztuki znajdują się jeszcze w skarbcach kościelnych krzyże drewniane z całym cyklem scen ewangelicznych, następnie Kadzielnice, różne ozdoby itp. Wielka szkoda, iż nikt nie roztoczył pieczy nad temi skarbcami, tak, jak one na to zasługują, jako jedyne w obrębie kultury niemieckiej.

4. Malarstwo ortodoksyjne i kraje zachodnie.

Niewiele się do dziś dnia troszczymy o kościół wschodni, pomimo, iż przedstawia on niesłychaną potęgę. Zaledwie w 1914 roku Rosja okupowała Galicję Wschodnią, natychmiast Rosjanie grecko-ortodoksyjni zaczęli wszelkimi możliwymi sposobami nawracać greko-katolików t. j. unitów, uznających papiestwo; dzięki temu otrzymali oni wyraźniejszy stempel petersburski, niż w tych wypadkach, gdy niektórzy z pośród nich podali się za rusofilów i wyparli się swej narodowości ukraińskiej. Rosjanie wiedzą, że wiara bardziej wiąże człowieka prostego, niż państwo i naród. Aby zapobiec zatracaniu swej odrębności przez Słowian południowych i ustrzec ich od tego rodzaju wpływów na przyszłość, należałoby ich pod względem kościelnym usamowolnić, aby Moskwa nie pociągała już ortodoksów. W dążeniu do tego celu pierwszym przykazaniem będzie zbadanie ich sztuki kościelnej i opieka nad nią.

D. c. n.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 1200 mk., miesięcznie 400 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **100 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

„ „ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch“, Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.